

bp. MICHAŁ KLEPACZ

PRZEMÓWIENIA WYGŁOSZONE W RADIU WATYKAŃSKIM W
CZASIE TRWANIA SOBORU WATYKAŃSKIEGO II

Zamieszczone tu teksty dziewiętnastu przemówień i konferencji biskupa Klepacza w większości nie były dotąd publikowane. Wszystkie były wygłoszone w Radiu Watykańskim podczas kolejnych sesji soborowych. Znajdują się one w maszynopisach, niekiedy z odręcznymi korektami Autora, w Archidiecezjalnym Archiwum w Łodzi. Są znakomitą świadectwem minionego czasu i twórczej myśli o wartości nieprzemijalnej.

„MÓWIĘ DO WAS Z WIECZNEGO MIASTA...”*

Najmilsi w Panu!

Mówię do Was z Wiecznego Miasta w czasie trwania II Soboru Watykańskiego. O tym Czcigodnym Zgromadzeniu Biskupów całego świata wiele już wiecie z prasy, radia, a przede wszystkim z odezów Waszych Biskupów. Włączyliście się też w obrady Episkopatu modlitwą. W tej chwili pragnę pozdrowić wszystkich rodaków, a między nimi i moich diecezjan zarówno duchowych, jak i świeckich. W tym krótkim przemówieniu pragnę i ja podzielić się swymi wrażeniami z Soboru i Rzymu.

Zgłoszonych zostało ponad 2500 biskupów i spora liczba tzw. obserwatorów różnych wyznań. Kolory skóry, języki, zwyczaje i obyczaje najrozmaitsze, jednakże ta sama idea chrześcijańska, a nawet przyjęty na obradach język łaciński. Co moment ktoś się odzywa w swoim narodowym języku, ktoś informuje się, a skąd, a jak się układa wasze życie w ogóle i religijne w szczególności. Spotykam czarnego jak noc Murzyna, który o coś się zapytał. Wywiązuje się rozmowa żywa, interesująca. W oczach jakieś dobre ogniki. „Jestem spod Kilimandżaro ze

* Fragmenty przemówienia wydrukowane były w „Przeglądzie Katolickim” (1963, nr 1, 3) pod tytułem *Sobór lekcją miłości*. Także wydrukowano je w „Tygodniku Powszechnym” (1962, nr 47, 11) oraz w „Słowie Powszechnym” (1962, nr 283). Pierwodruk całego przemówienia znajduje się w WDL (1962, nr 12, s. 267–270).

wschodniej Afryki. Piękna jest owa góra, prawie 6000 metrów nad poziom morza. Przyjedźcie, przyjmijemy Was serdecznie. Warto zobaczyć... Na pewno warto! I jeszcze inne widzieć sprawy, ludzi, kraje... Ale i życia na to nie starczy.

Posiedzenie plenarne. Krzesła ustawione w bazylice tak jakby razem stanowiły głęboką łódź, a konfesja św. Piotra na przedzie. Przeszło 2000 biskupów ubranych w szaty chórowe. Piękny, niezapomniany widok! A gdy po mszy świętej codziennej, uroczyście wnoszą Ewangelię, a wszyscy śpiewają: *Christus vincit, Christus regnat, Christus, Christus imperat* – to zda się, jakby cały glob ziemski i niebiosy śpiewały: Chrystus jest Panem wszechświata, Chrystus Zwycięzca zła i śmierci... w przemówieniach, jakże licznych, nieraz bardzo interesujących przebija jedna wielka troska, jak dzisiejszemu, skłóconemu światu, stojącemu co parę dziesiątków lat przed tragicznym „być albo nie być”, światu o niezwykłych osiągnięciach nauki, techniki, sztuki, myśli, a przy tym o sercu nienasyconym, trwożnych przewidywaniach, świadomości, że setki milionów głodują i żyją w lęku, smutku, a często i rozpacz.

Ta troska Soboru każe szukać wyjścia z chaosu pojęć, sprzecznych systemów ekonomicznych, społecznych i politycznych. I właśnie nawiązuje się wszystkie rozważania, projekty do rozumienia człowieka dzisiejszego i do szukania rozwiązań na terenie już uprawionym przez doświadczenie życiowe i Bożą Prawdę ugruntowanym. Ewangelia Chrystusowa na dzisiaj i jutro, tak jak była ona skuteczna na wczoraj – oto źródło energii dla ducha. Nawiazanie dogmatu do życia i naświetlenie życiem dogmatu jest metodą i przekonywującą i skuteczną.

Ale nie tylko chodzi o jasność myśli, pewność, jaką daje Prawda, ale też o umoralnienie dzisiejszego człowieka. Często padają wezwania, że hierarchia, że kler muszą stanąć na czele odrodzenia etycznego. Trzeba do ludzi iść nie tylko z głęboką wiedzą teologiczną, ale i znaleźć z nimi wspólny język oparty na ich wykształceniu i przeżyciach. A przede wszystkim iść do ludzi z miłością człowieka płynącą z Bożej miłości.

Człowiek przecież z natury swej dąży i pragnie Dobra. To święty, dobry człowiek – słyszy się czasem o jakiejś jednostce ludzkiej. Jest to zarazem pochwała, jak również i radość, że są inni, aniżeli się zwykło widzieć ludzi. Dobro zaś, jak poucza filozofia, dąży do rozszerzania się. I to dobroczynne działania pomnaża się w innych. Chrystus ustawicznie zachęca do tego, by ludzie byli coraz lepsi i w tym naśladowali doskonałości Boga. Dobroć myśli i czynów ma swoje źródło w miłości, tym najwyższym osiągnięciu moralnym. Chrystus, Apostołowie i wszyscy święci miłość Boga i ludzi stawiali najwyżej w szeregu cnót. Święty Paweł w swym wołaniu jakby archanielskim rzucał w czeluść wieków swoje: Gdybym miłości nie miał, na nic wiara. Gdybym miłości nie miał, byłbym jako miedź brzęcząca...

W sercu ludzkim jest gotowość miłości, przysypana nieraz popiołem egoizmu, małości i zawodów. Dobrze wiemy, jak trudną jest rzeczą miłość nawet bliskich, a cóż dopiero obcych lub nieprzyjaciół. Ale nie kochać – jeszcze trudniej i gorzej. Pustka niemiłości osacza człowieka i czyni go coraz więcej nieszczęśliwym.

I znów wrócę do moich wrażeń. Ojciec Święty Jan XXIII całą swoją postawą i stylem życia, i podejściem do człowieka jest wyrazem tej prawdy: że najbardziej przyciągającym do dobra jest człowiek światły, szlachetny i kochający Boga i bliźniego. Kiedy tylko zwraca się do ludzi, zawsze ma im coś dobrego do powiedzenia, co bardzo podnosi na duchu. Gdy przemawiał do biskupów polskich zaraz po naszym przyjeździe, albo gdy przyjechał niespodziewanie na nabożeństwo ku czci św. Stanisława Kostki, od razu chwycił za serce podnoszeniem walorów narodu polskiego.

W duszy polskiej są bowiem wielkie złoża miłości: Ojczyzny, Kościoła i ludzi. Dzięki miłości przetrwaliśmy wszelkie burze dziejowe, wychodząc z nich z pewnym rozczarowaniem i przygnębieniem, ale nie z rozpaczą: osłabieniem optymizmu, ale za to z większym doświadczeniem życiowym. Te charyzmaty duszy polskiej, choć nieraz stłumione przez samo życie i przez wrogie duszy polskiej żywioły, są zawsze gotowe odrodzić się i zabłysnąć nowym, nieoczekiwanym często światłem i siłą. I nie tylko dusza polska, ale i dusza ludzi w całym świecie. Cierpienia, zawody, osłabiły ten płomień miłości, ale przeżycia z nienawiści płynące przywróciły jej znaczenie. I skąd człowiek dzisiejszy, tak pochłonięty codziennymi sprawami, tęskni i dąży do innego stylu życia. I skąd zbliża się do źródła wszelkiej miłości, dobra i prawdy, do Boga. Sobór Powszechny ma za zadanie przypomnieć dzisiejszemu światu o jego właściwym przeznaczeniu, o jego możliwościach, o jego prawdziwym i rzetelnym szczęściu. Głosy te mnożą się w całym świecie. I jest nadzieja, że one przezwyciężą marazm, brak zrozumienia i ożywią w duszach te wartości, które jedynie uczynią życie, jeśli nie szczęśliwym, to przynajmniej znośnym.

Jeszcze na koniec jedno silne wrażenie: oto życie rodzinne we Włoszech. Jest ono naprawdę budujące. Przywiązanie rodziców do dziecka. Częsty obraz: ojciec niesie na ulicy, nie wstydząc się, małą swą pociechę. Dziecko zaś matkę swą prawie że adoruje. *Mamma mia adorata* – jak pisał pewien polityk włoski za czasów wojny na parę dni przed rozstrzelaniem, albo wspaniały muzyk młodociany, który na konkursie w Skandynawii zdobył pierwszą nagrodę i na pytanie, co chciałby powiedzieć przez radio, głosem wzruszonym odrzekł: chcę powiedzieć do mojej matki, że ją bardzo, bardzo kocham. I w Polsce miłość rodzinna, choć obecnie bardzo zagrożona, jest na miarę czasów, tak jak była w owe dni powstań aż do ostatniego włącznie. Każdy kto wyszedł z dobrego, chrześcijańskiego gniazda, to choćby go życie zagnało aż po krańce ziemi, z wielkim wzruszeniem wspomina swoje dzieciństwo, ukochanych: matkę, ojca i rodzeństwo.

Miłość wszystkiego co płynie z krainy Prawdy, Dobra, Piękna, Cierpienia i Ofiary, i do wszystkich ludzi – oto główny ton, jaki dźwięczy na obradach soborowych.

Tymi cudownymi słowy: miłość Boga i człowieka, dobroć, która chce szerzyć dobro, prawda zdobywcza – kończę to krótkie przemówienie, Najmilsi moi.

Rzym, 26 listopada 1962 r.

CHRYSTUS ZAŁOŻYCIEL KOŚCIOŁA

Najmilsi w Chrystusie Panu!

Jako trzeci z kolei biskup polski zabieram głos w radiostacji watykańskiej w czasie II sesji Soboru. Naprzód chcę jak każdy z nas pozdrowić wszystkich rodaków, a szczególnie moich diecezjan, zarówno duchownych, jak i świeckich, z biskupami którzy pozostali w Łodzi na czele.

Otóż mam mówić o Założycielu Kościoła, którym był Chrystus. On właśnie, Bóg–Człowiek, nie kto inny, był twórcą tej Instytucji, którą nazywamy Kościołem. Chrystus wybrał wśród swoich współczesnych 12 Apostołów z Piotrem na czele i nakazał im szerzenie Królestwa Bożego na ziemi. I obiecał być z ich następcami po wszystkie czasy. Dał im potrzebne wskazania i środki do prowadzenia tej misji i to nie tylko w Palestynie, ale na całym świecie i wśród wszystkich pokoleń.

Swoisty i zaskakujący jest sposób, w jaki Chrystus rozpoczął swą działalność odnośnie do Kościoła. Wybrał ze swego otoczenia niekoniecznie najbliższych sobie. Bo nie powołał Łazarza, którego przecież miłował. Nie brał pod uwagę rozwoju umysłowego, bo przecież odmówił ofercie uczonego. Ani usposobienia cnotliwego, bo wiemy, że jeden Go zdradził, drugi się Go zaparł, wszyscy zaś opuścili Go w dniu próby. Wybrani zaś z trudem tylko przyjmowali Jego naukę. Byli też gwałtowni i po ludzku mściwi, gdy ktoś nie słuchał Chrystusa, Jakub i Jan wołali: „Panie, chcesz, a powiemy, aby ogień zstąpił z nieba i spalił ich”. Mawiali często, że oni lepiej by rozwiązywali różne sprawy. „Na cóż ta strata?” – wymawiają Jezusowi, gdy Maria wylewa kosztowny olejek nardowy na Jego stopy. Radzą Mu rozpuścić głodną rzeszę tuż przed rozmnożeniem chleba. Napominają Jezusa, mówiąc: „Czemu mówisz ... w przypowieściach?” Z drugiej strony, boją się Chrystusa. Boją się coraz bardziej faryzeuszów i zmiennego ludu. Krytykują, że ciągle siebie naraża. Dziwny i niepojęty jest dla Apostołów, bo z jednej strony, włada naturą, wskrzesza zmarłych, uzdrawia chorych, a z drugiej strony, nie ma dachu nad głową, ucieka przed prześladowcami. Gorszą się Jego stosunkiem do bogactw, zawiedzeni są, że ich wymarzone ziemskie królestwo oddala się, że nie będą mogli w nim zajmować pierwszych miejsc ...

Prawda, że ludzie chętnie słuchali opowiadań Chrystusowych, rozumiały, konkretnych, barwnych, wprost dostępnych nawet dla dziecięcej wyobraźni, ale Apostołowie przypowieści nie lubili, bo wyczuwali, że treść przerasta ich zrozumienie. Ciągłe byli jakby zaskakiwani. Lecz On ich wybrał. On ich umiłował. Nigdy ich nie karmił, bo rozumiał ich człowieczą dolę, ich ludzkie nadzieje, ich wielki trud w rozumieniu największych spraw odnośnie do spraw Ducha. Takich to ludzi wybrał Chrystus, by w ten sposób podkreślić nie mądrość i charakter człowieka będącego decydować o powodzeniach Kościoła, ale On, Chrystus, będzie głównym jego Nauczycielem i Kierownikiem – i że na krętych ścieżkach ludzkich będzie prostował łaską jego drogi.

Mieli jednak Apostołowie wielką zaletę: poszli za Nim, gdy ich wezwał, chcieli lepiej pojmować wszystko, gdy ich nauczał. Na dręczące ich pytania mieli

jedną odpowiedź: „Do kogo pójdziemy? Ty masz słowa żywota”. Dlatego Chrystus w stosunku do wszystkich, a w szczególności do Apostołów, pełnił najczęściej rolę Nauczyciela. Zaufał słowu, w które wkładał treść nieprzemijającą, mówił i nauczał tak, by słowo miało wartość na wszystkie czasy. Tak jak w jednej łzie można zamknąć ogrom cierpienia, a w kropli rosy zmieścić słońce, tak i w słowie Chrystusowym mieści się tyle mądrości, że starczy jej na wszystkie wieki pielgrzymowania na ziemi.

I tak zlecił czynić Apostołom, których słabość podparł mocą Ducha Świętego. Środki naturalne cenił tak wysoko, bo najczęściej nimi osiągał cele nadprzyrodzone. Wiedział przecież, że człowiek z ducha i ciała się składa. I dla tych dwu głęboko przenikających się składników miał i zrozumienie i miłość. Najpiękniejsze swe myśli wykladał, gdy mówił o małżeństwie i rodzinie, a prostota i piękno Jego wypowiedzi czarować będą umysły i serca po wszystkie czasy. A przewodzić temu wszystkiemu ma miłość. I tak do uczniów mówił czule słodkim nazwaniem „dzieci”.

Inną wielką niespodzianką w Chrystusowym ujęciu Kościoła jest, że po Zmartwychwstaniu swoim nie mówił z Apostołami o przeszłości, ale ustawicznie stawiał przyszłość przed ich oczyma. Przez całe życie rzucał w ziemię ziarno gorzyczne i w ciasto świata kładł zaczyn, który miał go zakwasić. Twór, który zapoczątkował Chrystus, a który po Jego odejściu miał się stać Kościołem powszechnym, świętym i apostołskim, będzie podlegał prawu ziarna i prawu zaczynu. Nigdy ma nie stać w miejscu, lecz ciągle się odradzać, odradzając ludzkość. Kościół to nie schron odpoczynkowy, to przedmiot ustawicznej pracy.

I właśnie Sobór obecny, jak to stwierdził w swym wstępnym przemówieniu Ojciec Święty Paweł VI, jest głoszeniem w świecie Chrystusa, który jest w Kościele. Przy tym, jak Chrystus przyszedł, by służyć człowiekowi i całej ludzkości, tak to zadanie ma wypełniać Kościół. Służebność jego roli jest właśnie w dzisiejszych czasach tak pociągająca, bo nie panowanie, ale służba przełożonych czy rządzących urzeka serca i umysły oraz wychowuje każdą jednostkę do takiego a nie innego pojmowania swego wkładu w życie zbiorowe. Hierarchia Kościoła, to pochodzenie jego władzy od Chrystusa i Apostołów, a nie forma jej wykonywania.

Innym elementem przemówienia Papieża jest optymizm. Wywodzi się on stąd, że zawsze ostateczną rację będzie miał Bóg, który w Chrystusie zapowiedział swą obecność po wszystkie czasy. I Chrystus, przewidując ciężkie losy Apostołów i Kościoła, ciągle nawołuje do radości i wiary w zwycięstwo. Duch kształtowany przez Chrystusa zawsze będzie zwycięski, choćby po ludzku mówiąc, ponosił klęski. Służebność ludziom, miłość człowieka, szerzenie sprawiedliwości i prawdy, to są sprawy, które dziś z dnia na dzień nabierają większej jasności i świeżości. Świat zawiedziony na ludzkich tylko rachubach, omotany duchem sprzeczności, zagubiony na drogach nieszczęść i niepokojów, strwożony co do swych losów, chętnie nakłonił się ku słuchaniu tego, co płynie z nauki Chrystusowej, nauki Dobrej Nowiny. A pragnie ją dać Kościół w zrozumiałej i przystępnej dla czasów dzisiejszych formie.

Rzym, 9 października 1963 r.

O TOLERANCJI I NIETOLERANCJI*

Najczęściej za człowieka tolerancyjnego uważa się tego, kto memu pogładowi daje wiarę, aprobatę, a nawet uznanie, chociaż sam daleki jest od przyznania innym racji. Pochodzi to stąd, że każdy pragnąłby, by mu jego świat myśli i uczuć był jasny, dla wszystkich zrozumiały, czyli by mu się świat zgadzał. Kto ma nieco odmienny pogląd, to wprowadza w jego uporządkowany system niepokój i zamęt. Stąd niechęć do wszystkich o odmiennym światopoglądzie i odmienniej reakcji uczuciowej.

Jeszcze jedno: rozkochanie w sobie zamyka oczy na samokrytykę. To lenistwo ducha nie znosi głębszego zastanowienia się nad rzeczywistością. Chwyta człowiek powierzchowne hasła: co moje, to kochane, prawdziwe, warte, by je inni uznawali, cenili, a co najmniej tolerowali. I stąd zarówno w życiu naszym osobistym, jak i rodzinnym czy społecznym tyle bywa nietolerancji dla innych, że życie może człowiekowi obrzydnąć. Obserwacja i historia jest tego wymownym świadectwem. Ileż to nieszczęść spowodowało na ludzkość uporczywe, bezwzględne samoubóstwienie, a w najmniejszej mierze nie wnikanie ani w cudze dobro, ani też w przedmiotową prawdę. Wszelkie inkwizycje państwowe czy kościelne stąd czerpały swoje natchnienie.

Z drugiej strony, pobbazanie wszystkiemu w dziedzinie poglądów, wychowania itp. sprowadza nieraz ujemne skutki na świat i na pojedynczych ludzi. Hasła: „wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć” albo „nie sprzeciwiaj się złu”, prowadziły do nie mniejszych klęsk. Dlatego nasuwa się prosta na tle krańcowych poglądów uwaga: stwierdzamy często, że między logicznym – zdawałoby się – scalonym, wygładzonym obrazem rzeczywistości a prawdziwą rzeczywistością zachodzą nieraz wielkie różnice. Wielorakość świata, tajemne powiązanie wzajemnych uzależnień jednych rzeczy od drugich, tysiące skutków i przyczyn jednego drobnego zdarzenia – burzą nasze rozumowania i sądy, do których przyzwyczailiśmy się, bo były nam tak wygodne... Toteż trzeba wielkiego rozumu i jeszcze większej pokory, by prawdę chcieć osiągnąć i do niej stosować nasze poprawki myśli i uczuć.

Jeśli w sprawach prostych i zwykłych tyle zachodzi konfliktów, cóż dopiero powiedzieć o tych zagadnieniach, które są bardzo złożone i wymagają ustawicznego porównania osądów z rzeczywistością. Do takich należą także poglądy na Kościół w jego historycznych uzależnieniach, w jego bardzo złożonych działaniach. Jedni otaczają go miłością bez granic, zapominając o tym, że Kościół poza boskim pierwiastkiem ma też pierwiastek ludzki, że ludzie swą miernością i namiętnością przyczyniają mu wiele zła i stąd zarzut nietolerancji jest nieraz w pełni uzasadniony. Odnosi się to zresztą do wszystkich większych organizacji, jak np.

* Poszerzoną wersją w stosunku do radiowego przemówienia jest wykład *O tolerancji*, wygłoszony w KIK-u w Warszawie 25 stycznia 1965 r., wydrukowany następnie w „Tygodniku Powszechnym”. Zob. „Tygodnik Powszechny”, 1965, nr 15.

państwa. Inni znowu często z powodów pozarozumnych, odnoszą się do tej instytucji niechętnie, a nawet wrogo. To też uchwycić prostą podstawę dobrej i złej tolerancji nie jest rzeczą łatwą. I tu sięgniemy nie tylko do naszych doświadczeń, ale do wskazań Ewangelii, tej prawdziwej księgi żywota. Chrystus – Prawda i Żywot, Chrystus, który nas uczył i ciągle uczy zasadniczej mądrości i cnoty: umiaru w sądzeniu i postępowaniu. Jak on to realizował? Kochał człowieka, odrzucał i potępiał zło. O dobro walczył, ale duchem, bo nie chciał zguby człowieka, lecz by się nawrócił i żył. Barankiem ofiarnym był w chwili ofiary, ale stał się z całą mocą z ówczesnym i w ogóle z człowieczym złem. On, cichy i pokornego serca, wypędzał przekupniów ze świątyni, stał się z obłudą ówczesnego świata. Swoje Królestwo przeciwstawił królestwu zakłamania, tępoty i zawziętości. Nie wahał się grobami pobielanymi nazwać obłudę i pychę. Ale człowieka, powtarzam, ukochał, tak że za niego wydał na pohańbienie, mękę i śmierć swoje ciało, swoje człowieczeństwo. Rozumiał nędzę nie tylko materialną, ale i duchową synów tej ziemi i dla każdego z nich znajdował zrozumienie i przebaczenie, jeśli tylko dostrzegał choć szczyptę pokory i żalu. Maria Magdalena, zaprzańcy, złoczyńcy, a nawet kaci znajdowali u niego łaskę przebaczenia i zrozumienie: „nie wiedzą, co czynią”. Taką linię wskazał całemu Kościołowi. I ten w miarę ludzkich braków w zasadniczej linii im służy. W szczególności w obliczu największej nietolerancji czasów współczesnych, w obliczu pogwałcenia wszelkich przyrodzonych praw człowieka, cynizmu i okrucieństwa ponad miarę, kiedy to człowiek dla najmniejszego swego dobra gotów jest poświęcić największe dobro bliźniego, albo też dla fikcji staje się gilotyną chodzącą, korzącą rzeczywistość dla fikcji...

Sobór Powszechny pragnie przez swój własny przykład, a zarazem wskazanie dróg do świętości, wezwać ludzkość do innego stylu życia. Nawołuje do humanizmu chrześcijańskiego, tak sprzecznego z egoizmem i bezwzględnością, społecznymi instynktami czasów dzisiejszych.

Brak tolerancji w życiu prywatnym, społecznym, państwowym, ogólnoludzkim pragnie Kościół zastąpić rzetelną miłością człowieka i zniechęcić do zła, które właśnie samego sprawcę zła prowadzi do katastrofy. Dobroć realizowania na co dzień w Polsce jako czyn soborowy, ma nas przekonać pogładowo, ile to w sercach ludzkich może zmieścić się ciepła i jasności, ile możliwości osłodzenia ludziom ich nieraz gorzkiej doli, a nam samym ileż przynosi zadowolenia, radości i jakiegoś głębszego sensu życia!

W końcu niech mi wolno będzie przypomnieć jeden przykład ze starych ksiąg chrześcijańskich, dobrze ilustrujący pojęcie tolerancji.

Był pewien świątobliwy zakonnik, który kochał prawdę i dobro, a brzydził się grzechem i złem. I oto znajomy mu człowiek, grzesznik wielki, nie dbał na rady i nawoływania do nawrócenia. Znienawidził go więc ten pobożny mnich. I przeklął go, gdy skończył swój ranny Anioł Pański. Przeklął go po raz wtóry i trzeci, gdy zadzwoniono na południowy i wieczorny Angelus. I wyszedł ów świą-

tobliwy mąż na przechadzkę, zmierzając do oddalonej nieco przepaści. A widząc owego grzesznika, który jakby we śnie szedł właśnie tą samą ścieżką, ucieszył się wielce, że wreszcie zginie nienawistny mu człowiek. Jeszcze dwa, jeszcze jeden krok, a nieszczęsny grzesznik runie w przepaść i zakończy swój plugawy żywot.

Wtem ujrzał jakąś białą postać spieszącego na ratunek przeklętego przez zakonnika człowieka. I gdy w ostatniej chwili zatrzymał nachylającego się przed otchłanią człowieka, a spojrzał na owego zakonnika swym płomiennym wzrokiem, mnich olśniony i przerażony widokiem zawołał: „Chryste, przecież on ciebie obraził każdym swoim słowem, czynem a nawet oddechem”. – „Tak, synu, ale ja go ukochałem nad swoje życie i chcę, aby się póki żyje nawrócił i żył...”.

Potępienie zła, miłość człowieka, to główny nurt encykliki *Pacem in terris*, to przemożna nuta, którą rozbrzmiewa wspaniała, pełna historii, bazylika św. Piotra.

Jeszcze parę praktycznych wniosków:

1. Nietolerancja zła winna być zaczęta we własnym wnętrzu. Chrześcijanin przed każdą spowiedzią stwierdza, ile w nim samym mieści się płytkości w sądach, niepokornionych żądz i samolubnych pragnień.

2. W stosunku do ludzi, którzy grzechy śmiertelne piją jak wodę, zbrodniczymi czynami znaczą swoje dni i noce, nigdy nie stosować ich broni, bo to doprowadziłoby nas na drogę występku.

3. Nie postępować z ludźmi złymi, a tym bardziej ze złem nie prostym, ale przewrotnym, jak istoty bierne, jak owce idące na rzeź. Należy walczyć jak wojujące Anioły: dobrym swym życiem, prostowaniem fałszywych półprawd, orężem nauki rzetelnej czy to historycznej, społeczno-ekonomicznej, czy też filozoficznej, przyrodniczo-naukowej. Dobroć bowiem bierna tylko pobudza aktywność zła, które się umacnia i w pogardę innych poddaje nieruchawość apostołską ludzi tzw. dobrych. Ktoś słusznie powiedział, że gdyby ludzie dobrzy, mądrzy, mieli śmiałość łotrów, świat zostałby uratowany i dzieje ludzkości potoczyłyby się innymi torami.

Kościół dzisiejszy otworzył szeroko podwoje dla rozumnie pojętej tolerancji. Z wszystkimi ludźmi dobrej woli wszedł w dialog, czy to będą tzw. bracia odłączeni, czy żydzi, poganie, czy też nawet niewierzący i ateusze. Jednego tylko pragnie, by ci „inni” dzisiaj, a jutro może „bliscy” ze swej strony wykazali jak najwięcej dobrej woli i roztropności. Wszyscy musimy porzucić owe nieszczęsne „półprawdy”, które mogą być nawet gorsze od błędu. Wszystkiemu zaś musi przyświecać miłość, która, że użyję słów św. Pawła o swym wołaniu archanielskim rzuconym w czeluść wieków:

„Miłość cierpliwa jest, dobra jest. Miłość nie zna zawiści, nie przechwala się, pycha się nie unosi [...] uraz nie pamięta. Nie raduje się z nieprawości, lecz cieszy się z triumfu prawdy” (1 Kor 13, 4–6).

Rzym, 22 listopada 1963 r.

STOSUNEK CHRZEŚCJAŃSTWA DO TZW. ŚWIATA*

We współczesnym świecie są trzy charakterystyczne objawy: wielki optymizm, nie mniej skrajny pesymizm i prąd pośredni, który moglibyśmy określić jako realizm o zabarwieniu optymizmu umiarkowanego.

Optymiści, są zdania, że istnieje w świecie stały postęp, który jest skutkiem działalności człowieka, jego rozumu i dzielności. Stąd ufność we własne siły bez uciekania się do pomocy jakichś istot nadprzyrodzonych.

Pesymiści natomiast stwierdzają coraz to bardziej rozszerzający się upadek moralny człowieka, a wyzwolone przez niego moce zawarte w materii gotują mu katastrofę. Nie brak więc wśród światłych umysłów takich, którzy widzą w rozwoju techniki okres panowania maszyny nad człowiekiem, co z kolei rzeczy musi doprowadzić do wojny wszystkich przeciwko wszystkim i w końcu, dzięki odkryciu atomu do zniszczenia ludzkości.

Przyjrzyjmy się teraz światu, o którym mówi Chrystus.

Czy może światem nazywał wszystko, co jest ziemskie i doczesne i temu gwałtownie się przeciwstawiał, a kazał szukać jedynie celu i miejsca w niebie?

Tak twierdzi wielu przeciwników chrystianizmu. Zdaniem ich religia chrześcijańska przeklina świat, każe nim pogardzać, a przez to paraliżuje energię, nieodzowną zarówno w codziennej walce życia, jak i w spełnianiu wyższych zadań kulturalnych. Czyż – wołają – nie katolicyzm poczytuje życie kontemplacyjne za wyższe i lepsze od czynnego, a stan świecki niższy od zakonnego? Po co podejmować tyle mozół i zabiegów, skoro Chrystus zachęcał, by naśladować ptaki niebieskie, co nie sieją ani żną, ani zbierają do gumien, a jednak Ojciec niebieski żywi je? Po co dbać o błyskawiczną chwilę, jaką jest mroczne życie ziemskie, wobec nieskończonej jasności wieków w niebie? Nie pokonywanie świata drogą pracy i walki, lecz wyrzeczeniem się wszystkich jego radości, ucieczka przed jego powabami! Ubóstwo, celibat i samotność są trzema nadprzyrodzonymi cnotami, za pomocą który zdobywa się niebo! Czy taka doktryna nie jest przeciwieństwem kultury i postępu?

Prawda, Chrystus nie był architektem ani inżynierem, który miał dać ludzkości genialny plan urządzania miast i wsi, regulowania wód i budowy mostów. Nie był On lekarzem, co który miał nauczyć leczenia chorób fizycznych. Za nawias swej nauki usuwał i cezara i jego pieniądz. Nie ewangelizował „walki z panami” i nie bronił klasowego „interesu wydziedziczonych”. Nie usunął ze świata cierpień i zła, twierdził, że biednych zawsze wśród siebie mieć będziemy, a nawet dawał pochwałę ubóstwu (Mt 5, 39). Uczył też łagodności i bierności... Wszystko to prawda, ale nie wszystko tu jeszcze o Chrystusie powiedziano.

Przed wszystkim dotrzyjmy do istoty nauki Chrystusowej, do jej centrum! Zrozumiemy wówczas, w jakim sensie Chrystus przeciwstawił się światu i jaką wartość mają wysuwane trudności.

* Pierwodruk w WDL, 1965, nr 7, s. 159–161.

Chrystus w a l c z y duchem o ducha.

Człowiek dzisiejszy opanowany tyranią egoizmu, poddający duszę w niewolę zmysłów oddalił się niesłychanie od źródeł swej siły i mocy. Spójrzmy tylko w nasze serce, a zbijemy gruntownie wszystkie najmodniejsze teorie o wielkości człowieka, wyzwolonego z twardych nakazów ducha! Przyjrzyjmy się tylko dzisiejszemu szalonemu wyścigowi na złamanie karku, z którego ubywa tylko raz po raz ktoś, uprzątany przez karawaniarzy z placu wyścigowego.

Jaki cel ma życie bez prymatu ducha? Zarobić jak najwięcej, aby jak najwięcej wydać albo skapitalizować – oto dwa modele, dwa typy życia współczesnego.

Bogactwo i nędza, to są dwa bieguny naszego piekła.

Chyba to nie jest szczęściem! Chrystus tym właśnie bogaczom zziąjanym gorączkową pracą, co jest zysku chciwa, mówiąc o liliach polnych i ptakach niebieskich chciał dać lekcję nieprzeceniania wartości zdobytczy materialnych. Nędzarzom zaś wdrażał pogardę bogactwa.

Wiemy też dobrze, jakim gniazdem węzów jest serce ludzkie i do jakich zbrodni posunie się człowiek, gdy straci hamulce woli, kierowanej przez ducha! A z drugiej strony, czy nie stwierdzamy, że wszystko, co w nas jest wartościowego, co nadaje życiu sens, blask i ciepło, pochodzi z panowania nad naturą w nas i poza nami.

A tylko duchem dotrzemy do Boga, bez którego niemożliwe jest sensowne i dobre urządzenie życia zbiorowego.

Słusznie więc mówi poeta:

Kto Bogu nie da, co Boga,
ten i cesarza okłamie,
Chociażby ochrypl, hymny piejąc [...]
Kto zdradził Królestwo Boże,
Co temu królestwo ludzi? [...]

Chrystus więc przeciwstawiając się światu, miał na myśli przede wszystkim naukę tych, co chcieliby materię wywyższyć ponad ducha, człowieka ponad Boga.

Poza tym Chrystus, jak powiedzieliśmy, walczył o ducha duchem. Jego bierność występuje wówczas, gdy chodzi o siebie i o materialność, a jak Chrystus obrazowo powiada: świat i ciało. Uderzonemu w policzek każe nadstawić drugi, ale zapobiega profanacji ducha dumną przestrogą: „nie mieście perł przed chlewnią”. Stał się też na życie i śmierć z możliwymi tego świata, co obłudę przełożyli nad ducha.

„A przejrzawszy po nich z gniewem, zasmucił się dla szpetności ich...” mówi Pismo.

O ducha więc walczy Chrystus nieubłaganie. I zwycięża. I dlatego mógł powiedzieć: „Ufajcie, jam zwyciężył świat”.

A przy tym dla spraw ciała miał niezwykle zrozumienie. Wiedział, że odejmując człowieka światu przez przeciwstawienie go niższej jego naturze, oddaje go przez to bardziej uzdolnionego i przygotowanego do pracy dla świata. Tylko nie świata zła i pływicznego, ale świata dobra i głębokiego zrozumienia sensu istnienia.

I dlatego właśnie tak wielce Chrystus ceni uczucie: „Będziesz miłował”, bo „miłość nigdy nie ginie, choć proroctwa zniszczą, chociaż umiejętności będą zepsowane” (1 Kor 13, 8).

„Ufajcie, jam zwyciężył świat” – przez Miłość. I dlatego kochają Go miliony. Bo jakże nie być wdzięcznym podpalaczowi serc ludzkich. Przecież po ten ogień miłości przychodzą z łuczywem dla swego domu i miłujący Chrystusa i ci nawet, którzy Go nienawidzą.

Chrystus przecież chciał wciągnąć i materię, i ducha do postępu, do coraz wyższej kultury. Wszakże sam Bóg dał rozum człowiekowi i ziemię z jej skarbami, by „sprawował nad nimi władzę i czynił ją sobie poddaną”.

Kościół poszedł też za tymi wskazaniem i pozostawił po sobie olbrzymi dobroć dla kultury materialnej i duchowej.

Kościół, stosownie do Ewangelii, ciągle poucza, by zdobycze ducha w dziedzinę materii przeniknęły, religijną cześć dla Stwórcy tejże materii. Żąda tylko, aby ich pobudką nie był egoizm, chciwość, pycha i nienawiść, ale dążenie do osiągnięcia większej sprawiedliwości społecznej i powszechnej miłości.

Chrześcijaństwo, wiedząc, że cierpienie jest nieuniknione, a nawet koniecznością dzieła ducha, poucza wiernych, że nie należy zbyt brać do serca ani szczęścia, ani nieszczęścia. Chrystus z góry swej niezmierzonej wysokości patrzył na pomyślność ludzką, jak matka na bawiące się dzieci. Ale o te łyż troska się więcej i z nich nieraz stwarzał dla duszy wartości bezcenne.

Prawdą jest też, że dwa tysiące lat mijają od przyjścia Zbawiciela, a świat w dalszym ciągu ocieka od krwi. Ale też jest prawdą, że świat nie idzie za radami i nakazami Chrystusa. Dlatego szamoce się i szarpie.

Walka świata zła i ducha będzie jeszcze trwała przez wieki: „Gdzieś na wieków późnej fali”.

Zrozumie na koniec ludzkość, że nie tylko główną, ale jedyną prawdą wiekuistą życia jest Jezus Chrystus.

Galilejczyku zwyciężysz!

Rzym, 29 września 1964 r.

CHRZEŚCIJAŃSTWO – PRZEWYCIĘŻENIEM TRAGIZMU ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

Sobór Powszechny między wieloma różnymi sprawami pragnie rozświetlić i przewyciężyć tragizm życia współczesnego. Bo czym jest życie człowieka? Pracą, zabawą, nadzieją i poszukiwaniem szczęścia, pojętego zresztą tak różnorodnie. Jest i tym. Ale jest jeszcze czymś więcej, jest miłością do życia. Kochać zaś życie znaczy tyle, co wierzyć w swoje posłannictwo. My, chrześcijanie, wiemy, że świat doczesny jest tylko przedsionkiem wiekuistego, że to co naturalne, jest pierwszym przesłem do zbudowania mostów w kraj nadprzyrodzony, że życie

wskutek przelicznych pomyłek, jest nieraz wielkim dramatem duszy, a bywa też tragedią, zdolną jednak – dodajmy od razu – do przezwyciężenia.

Przedstawmy te myśli w bardziej konkretny i przystępny sposób. Weźmy np. jedno z tragicznych zagadnień zła – grzech. Grzech jest tragiczny w swym źródle, jest buntem przeciw miłości. Dobrowolnie przy tym niszczy on szanse człowieka na dobro i szczęście. Jest też tragiczny w swych następstwach, w sile rodzenia zła dalszego. Dla wielu dramaturgów ten tragizm jest nieprzezwycięzalny. Dla nich orderem dla bohatera jest jego klęska. Ukazują oni nasz świat w takiej grozie, w której wszystkie wartości muszą zginąć. Ale dopiero tragizm chrześcijański, jest tragizmem przezwyciężonym. Tragizm istnieje, zło istnieje, ale człowiek jest zbawiony, czyli od zła wyrwany, od tragicznego końca uratowany. Jest uratowany, zbawiony bohaterstwem, ofiarą i nieskończoną miłością. One to bowiem fatalizm grzechu przełamały. Zbawiciel pojednał Bóstwo z rodem śmiertelników. Chrystus połączył siłę pokory oraz pełnię życia z wolą rezygnacji. Każdy człowiek zapragnie wybawienia od samolubstwa, zatęskni do pokornego zatapiania się w wyższych mocach życia, do poddania się świętościom, mieszczącym się w obrazie Bóstwa.

We wczesnym średniowieczu wypuszczano gołębie z kościołów na znak, że w Imię Chrystusa człowiek zostanie wyzwolony, uwewnętrzniiony z rozszerzoną osobowością. Jedyne bowiem chrześcijaństwo ma prawdziwą wiedzę o człowieku i o sprawach ludzkich, bo ma wiedzę o demonach zła i o tym, który jedynie tym demonom rozkazywać może. Już dawno wypowiedział tę prawdę Klemens Aleksandryjski, gdy pisał: „Bez Wcielenia Syna Bożego, byliśmy wszyscy jak drób zamknięty w ciemnym kurniku i na zarznięcie posłany”. Tak samo na ziemi, mimo miliardów gwiazd panowałaby ciemność nieprzenikniona, gdyby słońce zagasło.

W świetle nauki chrześcijańskiej nie ma rzeczy małych, codziennych, powszednich, nieefektywnych, które by nie mogły mieć znaczenia wielkiego dla życia duchowego w wieczności. Przecież i w kałuży można dostrzec odbicie nieba. Odbija się ono w kropli wody. Ten dla kogo naprawdę istnieje Bóg, wieczność – małość i wielkość człowieka, cierpienie i krzywda każda najmniejsza nawet czynność, najbardziej zdawałoby się niepociągające stanowisko – ma znaczenie, o ile wiąże się je z tymi naprawdę wielkimi sprawami. Tak, jak włączając małą żarówkę naszego mieszkania, przez kontakt z olbrzymią elektrownią miasta, otrzymujemy natychmiast dobroczynne światło, tak samo łącząc nasze drobne czynności z wszechmocną, twórczą mocą Boga, nadajemy im w duszy, zdolnej do tych kontaktów, wartość i siłę. Jeśli w dzień Sądu, Chrystus wspomni, ba nawet poda jako przyczynę zbawienia szklankę wody podaną spragnionemu, pokarm podany zgłodniałemu, odzież biednemu, to widać, że te drobne czyny mają w sobie potencjalnie olbrzymie możliwości. To jest druga sprawa, na którą chciałem Wam, Drodzy Słuchacze, zwrócić uwagę.

Bóg chce, aby do Niego iść jak do Ojca, bezpośrednio, serdecznie, ufnie. Sam nam o tym powiedział w swej wspaniałej modlitwie *Ojcze nasz*. Przecież naprawdę Bóg, jak mówi poeta w *Uchu igielnym*, jest bliższy mnie niż ja sam so-

bie. Bóg jest prawdziwszy, niż to na co ciekawie patrzą nasze zachwycone oczy. Do Boga wie dzie nas wszystko, a więc i to, gdy śledzimy drogę fruujących na wietrze liści jesiennych, gdy patrzymy w serce matki oplakującej syna... O Bogu szumi nam spienione morze, do Boga wzdycha grzeszące ludzkie serce. Nie należy tylko stawać Bogu na poprzek, jak to lapidarnie wyraził Mickiewicz mówiąc: „Wołasz do Boga, Ojczy, Ojciec wnet przychodzi, ale zamiast dziecka, chłopca dużego znalazł”.

Należy też zbliżyć się do człowieka. Najlepiej go traktować jak brata, którego się kocha. Brat, jest to słowo najbardziej sponiewierane, spośród wszystkich zbeszczeszczonych słów człowieka, jest ono zwłaszcza zbeszczeszczone fałszem i faryzeizmem. Cięży na nim ludzka nienawiść i złość, ocukrowana zdrada i podstęp wobec drugiego człowieka. A może słowo brat powinno stać się ciepłe, życzliwe, kochające i praktyczne? Przecież podstawą międzyludzkiego braterstwa jest Ojcostwo Boże i wspólne nasze wobec Niego synostwo. To podstawa, która nie pozwala potępiać nikogo, nad nikogo się wynosić, która każe każdego szanować. Brat to człowiek równy nam, którego się nie sądzi, ale którego się kocha, szanuje i do którego wyciąga się dłoń serdecznie i ufnie. Należy rozróżniać zło i dobro, ale nigdy nie trzeba potępiać człowieka popełniającego zło.

Nie tylko jednak synostwo w Bogu, łączy ludzi między sobą. Są i inne, choć pochodne więzy, jak np. ta sama dola i niedola, ta sama dla wszystkich śmierć, koniec życia ziemskiego. Czy idąc na cmentarz, nie rozumiemy prawdy, że nas wszystkich bez wyjątku połączy grób?

Pamiętać też należy, że chrześcijaństwo budzi sumienie i daje podstawę granitową czynów ludzkich. Jest ono zwolennikiem mocnej dyscypliny moralnej, nie bazującej na przymiocie zewnętrznym, ale na wewnętrznym przekonaniu. W świecie pokonujemy różne opory, zarówno w dziedzinie materialnej, jak i duchowej. Przezwyciężanie przeszkód w drodze do celów dobrych jest zarazem gwarantem powodzenia i postępu.

Dla chrześcijanina najwyższą normą moralną jest prawo Boże, wcale nieobce, ale wprost przeciwnie bardzo bliskie szczęściu człowieka. Nie przekreśla ono praw zdrowej natury ludzkiej, ale je potwierdza i obdarza religijnym autorytetem. Wolność też nie jest dobrowolnością, samowolą i chwianiem się na falach pragnień, pożądań, zechceń i kaprysów. Najszlachetniejszym i najwyższym przywilejem człowieka jest to, że normy i prawo postępowania zatem i jego dyscyplinę i jego ograniczenia, może sobie wybrać dobrowolnie i świadomie. W związku z tym na przykład przepisy prawa moralnego w sprawach małżeństwa, jego formy przepisane przez Kościół wykazują wielką, życiową wartość. Bo jeśli ideałem stosunku wzajemnego płci, ideałem moralnym, osobistym i społecznym jest małżeństwo bogate w dzieci, to należy otoczyć je jak największą opieką, przez wychowanie młodzieży do małżeństwa, przez opiekę nad nim prawa państwowego i przez czujną troskę Kościoła. Wszelkie rozwiązania przeciwne, wprowadzając zamęt w sumieniu, powodują nieszczęścia wielu jednostek i prowadzą prostą

drogą do prostytucji, życia stadowego, folgowania najniższym instynktom, a w rezultacie do degeneracji jednostek i narodu. Tu widzimy najwięcej fałszerstw, propagatorów tzw. wolnej miłości i tu najwięcej, jakże zasłużonych dramatów człowieka. I znów wycinek z życia. Małżeństwo zgodne, kochające się, nagle rozdziela wojna. Mija 10 lat, nie mają wiadomości o sobie. Są oboje religijni, trwają w wierności, chociaż każde z nich po ludzku wysuwa przypuszczenie: a może druga strona zawarła nowy związek? Gdy wrócił mąż z dalekiego wygnania do domu, zastał oczekującą go żonę. Jakie to było szczęśliwe spotkanie, jaka w nim była wielka dyscyplina moralna. Jaka nagroda za wierność mimo wielu łez. Należy dać poznać młodzieży, że tylko taka miłość może być głęboka i trwała, która jest wzajemnym uzupełnieniem się.

Weźmy inny aspekt moralnych zobowiązań człowieka. Nie obce są mu instynkty dziecka. Zamiast wywodów teoretycznych podam, jakże znamienity przykład, wzięty z naszego łódzkiego życia. Chłopiec czteroletni chodzi na katechizację. Przychodzi z lekcji do domu i pyta: Tatusiu, Ty się modlisz, bo ja tego nie widzę? Tak, jak ty śpisz to ja się modłę – pada nieprawdziwa odpowiedź. Dalsze pytanie dziecka. Ale czemu się upijasz? Ja się zapytam księdza, czy można się modlić i upijać? Ojciec w niedzielę znów pod wpływem syna idzie do kościoła, ale boi się, czy on przypadkiem nie skontrolował go i nie skontaktował z prefektem. Wreszcie walka dziecka dała dobry rezultat. Ojciec udał się do poradni antyalkoholowej i przestał pić, zaczął się modlić. Mały apostoł wygrał kampanię, niewiele o tym wiedząc.

Tak można by rozwijać myśli bez końca. Jakież jednak będzie ostatni mój akord? Chyba znów przytoczę pewien znamienity fakt. Wybitny pisarz katolicki, Gołubiew ma odczyt w Warszawie na temat swego warsztatu pracy pisarskiej. Sala nabita. Ciekawie słucha się wywodów prelegenta. Gdy skończył, zaczęła się dyskusja. Jeden z młodych ludzi prosi o głos. Nie powołuje się na wiedzę przez siebie przemyślaną, ale cytuje wypowiedź jednego z publicystów, który twierdził, że katolicyzm i chrześcijaństwo są z sobą zupełnie niezgodne. Gołubiew dłuższy wywód kończy osobistym wynurzeniem: „Ja staram się być pisarzem katolickim, bo katolicyzm jest obrońcą prawdy, dobra i piękna, a czerpię wiele z książeczki zwanej Ewangelią. Gdybym jednak przejął się dogłębniej istotą i formą nauki Chrystusowej, gdybym miał największy talent, to wówczas byłbym prawdziwym pisarzem katolickim”.

Na końcu chciałoby się zawołać: „Jak dobry i możliwy jest Pan, który ukazuje drogę do wyjścia z tragizmu dnia dzisiejszego”. Módlmy się więc modlitwą najmielszą Bogu, którą od czasów Salomona powtarzają wszyscy mędrcy świata, gdy nie żądają dla siebie długich dni ani bogactwa, ani wytracenia nieprzyjaciół, ale proszą o rozum dla rozeznania Prawdy, Dobra i Piękna.

Rzym, 12 października 1964 r.

ZMIERZCH CZY ODRODZENIE WSPÓŁCZESNEJ KULTURY?*

W Encyklice *Ecclesiam suam* o Kościele Bożym Paweł VI porusza sprawę odrodzenia i wewnętrznego odnowienia ludów chrześcijańskich oraz stosunku chrześcijan do innych religii, do ludzi niewierzących, a nawet do walczących z wszelką religią. Ci ostatni mają nieraz do rozporządzenia całą współczesną technikę i by dać głębszy podkład swej działalności antyreligijnej posługują się naukowymi rzekomo argumentami. Sobór powszechny pragnie nawiązać dialog i z takimi ludźmi, bo jest przeświadczony o słuszności swej wiary i niewystarczalności argumentów przeciw prawdzie chrześcijańskiej.

Człowiek współczesny mniej jest wrażliwy na dowody filozoficzne i oderwane, natomiast trafia mu do przekonania konkret i jego własne przeżycie.

Będę chyba w zgodzie z duchem soborowych rozpraw i rozważań, jeśli omówię tęsknoty współczesności do rozszerzenia pola widzenia dla ducha, któremu już nie wystarczy wielki rozkwit cywilizacji i nadzieja na coraz to nowe zdobycze nauki i techniki.

Bo człowiek czasów obecnych stwierdza, że życie obok promiennego oblicza słonecznego, ma także twarz drugą, bezmiernie bolesną. Przeżył on właśnie w czasie rozkwitu cywilizacji gehennę nędzy fizycznej i moralnej na skutek potwornych przeżyć w ostatniej wojnie światowej. Jeden ze współczesnych myślicieli – Spengler napisał grube dwutomowe dzieło, któremu dał tytuł *Upadek cywilizacji zachodniej*, które obudziło w świecie olbrzymie zainteresowanie. Stwierdza on i to jeszcze przed wojną, o zmierzchu dzisiejszego świata, któremu wróży gorzkie rozczarowanie i klęski. Zastanawia się też nad przyczynami tego faktu i dochodzi do wniosku, że cywilizacja materialna została pozbawiona podstaw, jakie dać może tylko kultura duchowa.

Przypominają się tu strofy naszego Norwida, który w swym poemacie *Fatum* pisał:

Jak dziki zwierz przyszło
nieszczęście do człowieka
I zatopilo w nim fatalne oczy...
Czeka
aż człowiek zboczy...

Inny znów myśliciel hiszpański Miguel Unamuno w swej książce *Agonia chrześcijaństwa* winę zrzuca właśnie na ... religię w ogóle, a chrześcijaństwo w szczególności. Za nim idzie cały legion tych, którzy niby w imię postępu wypowiadają walkę religii.

Zasadniczo inne stanowisko zajmują dziś przedstawiciele chrześcijaństwa. Każdy z tych poglądów w pewnej mierze skrajnych ma swoje racje. Przede wszystkim zwolennicy Zmierzchu Cywilizacji Zachodniej mają na potwierdzenie swej tezy wiele faktów zaczerpniętych z dumnego wieku dwudziestego: dwie krwawe, okrutne i ludobójcze wojny światowe.

* ** Pierwodruk w: WDL, 1965, nr 8, s. 179–182.

Wielkie nadzieje XIX wieku na postęp świata, który jak pisano – nigdy nie pójdzie wstecz, nie ziściły się. Słusznie też pisze jeden z angielskich mężów stanu (James Brace): „Wiedzę nagromadzono, ulepszono metody i narzędzia badań, osiągnięto władztwo nad siłami natury, lecz umysłowe władze jednostki pozostały w zastoju, nie są szersze w swoim locie, niż były tysiące lat temu”. Sekunduje mu wielu wybitnych przedstawicieli współczesnej wiedzy, którzy zresztą zastrzegają się, że nie nauka zbankrutowała, lecz ci, co ją obdarzyli ponad siły lub chcieli ją używać do celów, nie mających nic wspólnego z nauką.

Inni znowu winę za ten stan rzeczy przypisują, np. Unamuno, ... chrześcijaństwu. Ono bowiem w ich ujęciu postawiło fałszywe ideały: opuszczenie rodziny dla nadziemskich celów, zapomnienie i oderwanie od świata, samowyrzeczenie się i bierne oczekiwanie na pomoc od Boga itp.

Jednym słowem, chrystianizm, ukazując człowiekowi zaświat, niemożliwą do sprawdzenia nadprzyrodzoność, jest szkodliwy dla ziemskiego realnego życia.

Uzbrojony w nowoczesną wiedzę o świecie, oświecony promieniami Ewangelii umysł chrześcijanina widzi tę sprawę inaczej. Pomocą dla niego jest przede wszystkim stan umysłów człowieka współczesnego, który zaczyna dostrzegać, że rzeczywistość ziemską jest tylko maleńkim wycinkiem innej wielkiej rzeczywistości.

Gdyby bardzo uczona mrówka–filozof zbudowała teorię o człowieku na podstawie tego kawałka skóry na pięcie, który poznała, wszedłszy z nim w kontakt, nadeptana nogą – wywody jej stanęłyby w tym samym stosunku do prawdy, co nasze wyobrażenie tajemnicy na zasadzie naszych doświadczeń... Oko nasze widzi siedem barw, ale poniżej i powyżej spektrum istnieje barw nieskończoność. I nieskończoność tonów powyżej i poniżej słyszalnej gamy, a nawet w działkach interwałów. Wiemy, że na wiele fal eteru organizm nasz nie odpowiada. Skoro więc zmysły nasze nie wyczerpują nawet całej zewnętrżności świata, którą mogłyby ogarnąć jakieś inne metazmysły, to jakże wnioskować możemy o jego istocie. Nie zacieśniajmy nieskończoności, która jest dynamiką naszych możliwości rozwojowych. Nie mówmy, że nie ma nic poza, pod... fenomenalizmem naszej mrówki.

Widzi też człowiek, że spotęgowanie sił naturalnych, jego dążenie do prawdy, wolności i sprawiedliwości, czyli do moralności osobistej i społecznej jest uwarunkowane nie tylko jego wysiłkiem, ale że mu w tych sprawach jest potrzebna pomoc. Pomoc przekraczająca siły człowieka. I w ten sposób umysł poprzez świat natury, kultury i swoją działalność dochodzi do istnienia świata nadprzyrodzonego. Świat ten wsiąka niejako w samą naturalną sferę kultury, orientuje ducha ludzkiego ku wyższemu celom i uszlachetniając wolę wyższymi pobudkami.

Dlatego we współczesnej literaturze naukowej i pięknej dużo mówi się o nadprzyrodzoności. Belloc, Mauriac, Maritain, Joergensen, Undset, Papini i wielu innych. Wybitny filozof Bierdiajew dowodzi ciekawie, że człowiek nie może siebie zrozumieć, bo zapomniał o nadprzyrodzonym Bogu. Wówczas zrozumie świat, jeżeli Bóg stanie się ośrodkiem całego życia. Znakomity zaś uczony Benda za motto swej pracy postawił zdanie filozofa Renouviera: „Świat cierpi z braku wiary w prawdę nadprzyrodzoną”.

Doskonale tę myśl ujął Leopold Staff, gdy pisał w Uchu igielnym: „Szukałem Ciebie w chmurach, na niebiosach i na tej niskiej, pełnej grobów glebie i dzisiaj widzę w radosnych łez rosach, że Bóg był bliższy mnie, niż ja sam siebie”.

Myśli te potwierdzają stale nasze własne doświadczenia.

Weźmy np. tajemnicę zbawienia. Jakże jesteśmy bezradni, gdy wypadnie nam nawrócić kogoś lub pocieszyć w nieszczęściu – ze zbawiającym wpływem chrześcijaństwa, które nieprzeliczonym rzeszom dawało i daje ową pociechę, moc, zupełność i odnową życia? Czym jest wpływ Platona i Sokratesa, uczonych i polityków w porównaniu z tą potęgą?

Poza tym: poświęcenie człowieka, a zarazem jego niewystarczalność nie znają również uprzeczynowania w świecie zjawisk. Benvenuto Cellini, wrzucony do wilgotnego lochu, gdzie gniło żywe ciało, czuje się tytanicznie spotęgowanym i szczęśliwym przez sen niebiański.

Sam Chrystus założyciel chrześcijaństwa, do którego miliony przychodzą po ogień dla własnego ducha, jest właśnie dowodem istnienia życia nadprzyrodzonego. On jeden umiłowany nad wszystko i znienawidzony ponad wszelką miarę! Ten, który przyświecał ludzkości przez dwa tysiące lat, nie tylko nic nie stracił ze swojego blasku i ogromu, ale postać jego nieustannie rozszerzać się będzie i zakrywać w wyczulających się oczach pokoleń przyszłych. Taką wielkością mogła być jeno wielkość Bóstwa, wielkość nadnaturalna.

A trudności, jakie miał Unamuno są od dawna wyjaśnione przez Kościół. I stosunek Chrystusa do małżeństwa, do doskonalenia się w konkretnych życiowych stosunkach, do dźwigni wszelkiego postępu materialnego i moralnego jaką jest miłość, do podkreślenia wartości człowieka jako dziecka Bożego, nauka o jego nieśmiertelności, czyż nie są dowodem, jak głęboko zaznacza się chrześcijaństwo w życiu indywidualnym i zbiorowym w stosunkach międzyludzkich.

To też nauka Ewangelii, tak głęboko przedstawiona w encyklikach Jana XXIII i Pawła VI jest nauką nieprzebranych życiowych wartości. Przyjęcie np. encykliki Papieża Jana XXIII *Pacem in terris* przez cały świat zaświadcza wymownie o wartościach dla współczesności wskazań opartych na nauce Chrystusowej. Pełen akcent postawiony na zagadnieniach godności człowieka, jego wielkości, sprawiedliwości, pokoju i miłości wywodzi się z małej książeczki, której na imię Ewangelia.

W końcu warto podkreślić, gdy myślimy i mówimy o dialogu z przeciwnikami wiary chrześcijańskiej, że i Ci ludzie są też dziećmi Bożymi, może pod wpływem różnych czynników nie dostrzegający prawdy Bożej, jednak potencjalnie – jak wielu to zresztą na wzór św. Pawła i św. Augustyna uczyniło – może dojść pod wpływem głębszego poznania życia i łaski do owczarni Chrystusowej. A dla chrześcijanina, który jest świadom potęgi Bożej jest również nakazem, by zbliżał się do nich nie oszołomiony pychą zdobywcy prawdy, ale w głębokiej pokorze i miłości człowieka każdego.

Dla zilustrowania tej myśli pozwolę sobie opowiedzieć pewną przypowieść. Szedł raz podróżny w noc ciemną i mglistą. Po obu stronach drogi grunt był niepewny, pełen wyrw i trzęsawisk, tak że nie można było nigdzie zboczyć pod

grozą śmierci. Nagle, idący dostrzegł ponad mgłą, która na chwilę opadła, z bardzo jeszcze daleka, wielki kształt, podążający ku niemu po tej samej drodze. Przeraził się bardzo, sądził bowiem, że jakiś zwierz dziki zwęszył go i bieży ku niemu, by go pożreć. Ponieważ jednak nie miał gdzie się skryć, ani dokąd zboczyć, uciekać zaś wstecz byłoby daremne wobec szybkiego zbliżania się nieznanego kształtu, postanowił iść dalej, acz z wielkim strachem.

Ze wzgórką, na który wspięła się droga, znów dojrzał szmat szlaku, a na nim już nie zwierza, jak był mniemał, lecz olbrzyma. Przeraził się wówczas jeszcze bardziej, bo teraz jedyną jego nadzieją było ukryć się u brzegu drogi tak, aby być jak najmniej widzialnym, a to ukrycie się było prawie niepodobieństwem... Szedł więc podróżny, wahający się i był właśnie w dolinie, gdy spostrzegł nareszcie wyraźniej nieznanego na szczycie pagórka i zobaczył, że nie był to olbrzym, lecz człowiek zwyczajnego wzrostu, tyle, że uzbrojony od stóp do głów. Broń jego – łuk i strzały, a także gruba maczuga – sterczały dokoła jego postaci, nadając mu groźny wygląd. „Zbójca”, pomyślał podróżny z rozpaczą, „no teraz to już śmierć bliska”. I wyciągnąwszy z za cholewy nóż, przygotował się do beznadziejnej walki.

Powiał wiatr, mgła ustała, księżyc ukazał się i oświecił drogę, a przy tym świetle podróżny poznał kształt, który spostrzegł był od tak długiej chwili i którego tak bardzo się lękał. Nie był to ani zwierz, ani olbrzym, ani leśny zbójca. Ten straszliwy Nieznajomy to był własny brat podróżnego.

Takim bratem dla was wszystkich, co poszukujecie prawdy, a walczyć musicie z koszmarami sceptycyzmu i niewiary, jest religia chrześcijańska.

Rzym, 6 listopada 1964 r.

„WE WSZYSTKICH SPRAWACH, KTÓRE PORUSZA SOBÓR...”

We wszystkich sprawach, które porusza Sobór, jak złota nić przewija się myśl, że cały postęp ludzkości zależy przede wszystkim od ducha, a z nim od jego kultury umysłowej, woli i uczuć. W kulturze zaś naprawdę ludzkiej podstawową rolą odgrywa miłość prawdy, dobra i piękna. Najwięcej tej miłości i dobroci potrzebuje chrześcijanin, człowiek. Stąd też w cyklu moich pogadanek radiowych naprzód będę mówił o dobroci.

Starsze pokolenie przeżywało czasy – mówiąc bez retuszu – okrutne. Dwie wojny światowe, a w szczególności druga były eksperymentem aż nadto dotkliwym i poniżającym. Człowiek stał się dla człowieka wilkiem drapieżnym, zapanało prawo dżungli. O jednego z nas za dużo – zdawał się mówić człowiek do człowieka – usuń się, a ja zajmę twoje miejsce. Prawie 40 milionów poległych w ostatniej rozprawie ludzkości, drugie tyle rannych, zamęczonych w obozach koncentracyjnych w liczbie astronomicznej – niepodobnej do odcyfrowania: około 150 milionów. A inne ofiary? Po prostu rzeźnia ludzkiego pogłowia. I o co? O lepsze koryto, o ambicje rządzących, o pseudowyzszość rasową, o fikcje ustrojowe. A po wojnie? Słyszysz się głosy zdawałoby się nieporozumiałe, ale

porażające: „Choćbyśmy w szerzeniu rewolucji, my Chińczycy, stracili 300 milionów ludzi, to reszta 400 czy 500 milionów będą panami świata [...]”.

Na tym tle dopiero odczuwamy tęsknoty ludzkości do pokoju, do pojednania, rozsądku. Świat, że się tak wyrazimy biblijnie, tęskni niewymowną tęsknotą. Budzi się nowe nadzieje na urządzenie życia po człowieczemu. Odzywa się też tęsknota za Bogiem jako ożywczym źródłem wszelkiej nadziei i podstawą przynajmniej względnego szczęścia na ziemi. Coraz to głębiej rozumiemy i czujemy, że ten styl życia, jaki obrany został przez utopistów i zwyrodniałców nie może zapewnić ludzkości spokoju, dobrobytu i postępu. Czasem, gdy do niektórych ludzi mówimy o świecie wyższym, nadprzyrodzonym śmieją się i drwią tak samo, jak te zwierzęta z bajki, które szczydziły z człowieka, że na dwóch – zamiast wygodnie na czterech nogach, chodzi. A jednak wierzymy, że ten szal jest przejściowy i że miliony serc tęskniących zapanują nad chaosem uczuć i myśli. Zateśknimy, by na naszych grobowcach bez przesady można było umieścić napis jak ongiś umarłemu Egipcjaninowi: „Nie wycisnąłem niczyich łez”. Dobroć więc, nie ta sentymentalna, ale dobroć jedynie oparta na przeświadczeniu jej potrzeby i pragnieniu zrealizowania jej poprzez naszą wolę.

Wiemy dobrze, że słowa i czyny źródło swoje mają w myślach. Również w świecie myśli spotykamy się albo z Bogiem, albo z szatanem. Tu właśnie odbywa się nasz rachunek sumienia, któremu obca jest hipokryzja czy pycha. Kto liczy się ze swoimi myślami, mądrze osądza ludzi, bo wie, jak trudne są i zawikłane ścieżki naszych myśli. Nie wynika jednak z tego, żeby ulegać złudzeniom i być ślepym na zło. Ale te doświadczenia mówią nam, że dobre opinie o ludziach były bliższe prawdy, aniżeli nasze sądy ujemne. Z drugiej strony, sami stajemy się lepsi, oceniając innych dobrze i wpływamy nieraz na ich poprawę. Dobroć przejawiać możemy również w naszych słowach. Słowa to wielka potęga, mogą one ranić śmiertelnie, mają też siłę twórczą. Dlatego tak Bóg w swoim ósmym przykazaniu podkreślił zło fałszywych ocen o ludziach.

Czyny dobre są również tym węzłem, który na wieki spaja serca ludzkie. A może nawet mniej czyny same, aniżeli sposób oddawania usług. Myśli, słowa i czyny – oto przejawy dobroci. Skutki dobroci są tak wielkie, że świat zaraz poczułby się lepiej, gdyby ludzie zrozumieli i wprowadzili w czyn te proste i jasne nakazy. Dobroć bowiem wniosłaby wszędzie radość, uczyniłaby życie bardziej pociągające, a przynajmniej znośne. Iluż to ludzi pod wpływem dobroci zmieniło swój nawet zły charakter! Jeden z autorów, który sam był więźniem na Syberii (Dostojewski) podkreślił doniosłość roli komendantów owych kazamat – zli zwierchnicy jeszcze bardziej rozbestwiali i tak już zdeprawowane charaktery katorżników, natomiast szlachetniejsi budzili w duszach więźniów lepsze uczucia. I my doświadczamy wpływu dobrych ludzkich serc. Wystarczy nieraz sam ton głosu, jedno pocziwe spojrzenie, aby człowiekowi, znękanemu życiem, wrócić ochotę i otuchę. Pod takim słonecznym spojrzeniem narastają w ludziach nowe siły i budzi się zalekła odwaga. Obserwujemy też odwrotność tego zjawiska: ludzie, którzy nie zaznali dobroci, stawali się gorsi. Jeszcze na jeden aspekt pragnę

zwrócić uwagę: ludziom ich własne dobro daje bardzo wiele. Pomaga do wyzbycia się egoizmu, budzenia pokory, bo człowiek pyszny rzadko bywa dobry. Pozbawia nas szorstkości i ostrości, wysubtelniając w nas myśli, słowa i uczynki. Wszelkie też poświęcenie, ofiarność, a nawet bohaterstwo ma swe źródło w dobroci, tak ściśle zespolonej z miłością, jak snop promieni ze słońcem, skąd wychodzi.

Nic dziwnego, przecież to Bóg, który jest – według genialnego skrótu Janowego – Miłością, stworzył ludzkie serce i dobroć. Często też Prawo Boże podkreśla ten atrybut woli i serca człowieczego, wykazując jego wagę i źródło: „Duch mądrości jest dobrotliwy” (Mdr 1, 6), „W mądrości jest duch rozumienia słodki i miłujący dobro, dobrze czyniący” (Mdr 7, 2); „Będziecie łaskawi jedni względem drugich” (Ef 4, 32); „Owoc ducha jest: miłość, dobroć i dobrotliwość” (Ga 5, 22) itd. Ucieleśnieniem miłości i zarazem symbolem jest Maryja Dziewica i Matka zarazem. „Państwo może wychowywać dziecko”, „Rodzina nie jest czynnikiem koniecznym w wychowaniu” itd. Jakież fałsz! To zimno, ten chłód bijące coraz bardziej od ludzi, to zdrewnienie, jest wynikiem obumierania ciepłoty, miłości i miękkości. Ludzie bez matek i ojców, ludzie, jak cięte kwiaty. A miłość matczy-na właśnie w miłości Matki Najświętszej ustawicznie się rozpręża i kształtuje. W obliczu Rodziny Przenajświętszej odnawia się dobroć człowiecza. „Może się zjawi – pisze jeden z niewierzących pisarzy (A. Niemojewski) – człowiek o tak subtelnej psychologii i tak wielkim sercu, który to wytłumaczy współczesnym racjonalistom (i dzisiejszym dodajmy laicyzmowi), nie umiejącym się już orientować należycie w psychologii wojen krzyżowych, w misteriach średniowiecznych i w jego mistyce, Rycerz, obrońca Dzieciątka Bożego, człowiek srogi i wbijający na pal swych wrogów, tajał pod wpływem tej idei, padał na kolana, kajał się i zwolna innym stawał się człowiekiem. „Ideal – pisze tenże publicysta – Dziewicy Niepokalanej wychowywał dziewczęstwo na ziemi i wzbudził szacunek do niego. Dziewiczość i macierzyństwo w złączeniu wytworzyło pojęcie świętości matki. Kto wyszedł z pocziwego domu i poniesiony burzami losów zabłądził gdzieś daleko na koniec świata, ilekroć wspomina swe dzieciństwo, matkę, siostry, zawsze je widzi oczyma duszy, opromienione jakimś anielstwem” (A. Niemojewski, *Etyka Talmudu*, Warszawa 1918, s. 49–50). Te myśli nasuwają się nam, kiedy rozpatrujemy ludzką dobroć zakotwiczoną, bo inaczej więdną, w miłości Bożej. Tylko Bóg przeciwstawić może swój uniwersalizm naszemu radykalizmowi, swoją wszechmoc – naszej trwożnej lękliwości, pokorę – próżności, miłosierdzie – sądowi, a sąd – miłosierdziu, że tylko On, tylko Bóg przynosi nam wielkoduszość z wiary zamiast hałaśliwego pseudopostępu cichy, milczący krzyż...

Rzym, 21 września 1963 r.

CZYM JEST KULTURA?

Mam zamiar w trzech konferencjach omawiać ważne zagadnienie kultury w ogóle, a kultury katolickiej w szczególności. Jest to sprawa obchodząca każdego myślącego człowieka. Kościół również pragnienie naświetlić ten skomplikowany, jak się przekonany, problem. Dlatego też w słynnym już projekcie schematu XIII ten punkt jest rozpatrywany i wyłaniają się z niego najważniejsze myśli, oceny i perspektywy rozwoju naszych czasów.

Nie mogę też nie nadmienić, że pojęcie kultury jest bardzo zagmatwane i często fałszywie przedstawiane.

Dlatego najpierw będę mówił o fałszach dotyczących kultury, rozsiewanych umyślnie lub na skutek powierzchowności osądów.

Dopiero potem o tym, czym naprawdę jest kultura. Wreszcie trzecia konferencja będzie poświęcona kulturze katolickiej.

Błędne opinie o kulturze. Bardzo często spotykamy się ze słowem „kultura”. Ten człowiek jest kulturalny, a inny jej pozbawiony. Europejskie narody mają wysoką kulturę, a ludy afrykańskie stoją na niskim poziomie cywilizacji i kultury. Lub jeszcze inaczej: w okresach największego upadku kultury powstaje szczególny jej kult. Kultura wówczas staje się przedmiotem nieustannej deklamacji, rodzajem szantażu moralnego wobec innych ludzi. Kulturze też przypisuje się nieraz takie możliwości, których nie ma, np. możliwość całkowitej przemiany natury, zniesienia chorób i śmierci itp.

Są jeszcze inne objawy w ocenie współczesnej kultury, np. pisarz francuski Anatol France wypowiedział się o niej w sposób wprost nienawistny. Oto jego słowa: „Gdy usłyszę słowo »kultura« odbezpieczam rewolwer”. Inny bardziej uchwytyn moment to jej fałszyfikaty.

Przedstawię dwa: Pierwszy stosunkowo niewinny, drugi zaś wprost przestępczy i bandycki.

Pierwszy fałszyfikat polega na użyciu pojęcia „kultura”, ale bez jej ducha. Niekoniecznie z powodu złej woli, której zamiarem byłoby umyślne wprowadzenie w błąd słuchacza czy czytelnika. Ileż to sofizmatów, frazesów, ocen bez pokrycia napotykamy w dziedzinach niby naukowych, filozoficznych, społecznych, ba nawet religijnych. Jakże często napotykamy ludzi, którzy rygorystycznie trzymają się określonych reguł moralnych i pełnią je pedantycznie bez wewnętrznego przeżycia moralnego. W dziedzinie sztuki odpowiednikiem jego będzie puste wirtuozostwo na pozór olśniewające, ale pozbawione wszelkiej głębszej wartości.

Przy bliższym zapoznaniu się z takim „mistrzostwem” umysł krytyczny orientuje się, że ma do czynienia z grą baniek mydlanych, które wystarczy przekłuć, by okazały się tym czym są w istocie: wodą z mydłem. Są to właściwie marginalia kulturalne, nie pozbawione jednak pewnego, choć bladego, wdzięku. Takie ćwiczenia formalne nie są nadużyciem kultury, nie ma w nich podstępu, są jednak pozbawione ducha rzetelnej kultury.

O wiele gorsze są fałszyfikaty drugiego rodzaju. Nie tylko nie ma w nich ducha kultury, lecz jest duch wrogi kulturze, zamaskowany środkami wyrazu używanymi przez kulturę. Podporządkowują one podstępnie i skrycie najwyższe wartości celom praktycznym pod pozorem działania kulturalnego.

W filozofii np. spotykamy takich oszustów, którzy nie służą prawdzie, do jakiej dąży filozofia, ale ją fałszują. Jakże często spotykamy niby szanowanych myślicieli, którzy potrafią uzasadnić każdą podłość i gwałt, używając np. słów: aneksja zamiast kradzież, naród bandytów, nazywając Herrenvolken itp. Potrafią oni niby w imię kultury, skazywać miliony ludzi na udręki bez miary, na usprawiedliwianie najpotworniejszych zbrodni!

Jakże często spotykamy ludzi, którzy pod pozorem nauki przemycają fałsze przyrodnicze, czy też fałsze z dziedziny ekonomii lub socjologii. Będą oni więc apostołami nie prawdy, dobra i piękna, ale kłamstwa i brzydoty. Jest to właściwie całkowite splugawienie kultury.

Wprawdzie trudno jest niejednokrotnie odróżnić taki fałszykat od prawdziwego dzieła kultury. Często podszywanie się pod nią jest tak zręczne, a opanowanie często formalnych środków tak wielkie, maska kulturalnej bezinteresowności i bezstronności tak zręcznie nałożona, że niewprawnemu oku trudno jest odkryć fałszerstwo i wyraźnie stwierdzić, że nie mamy w danym wypadku do czynienia ze zwykłą omyłką lub błędem, które są rzeczą ludzką, lecz ze świadomym oszustwem, duchowym bandytyzmem i trucicielstwem.

Jest tu pewne podobieństwo do fałszywej pobożności, ogólniej do hipokryzji. Hipokrycie udaje się niejednokrotnie łudzić ludzi przez dłuższy czas, naiwniejszych nawet przez całe życia. Zachowanie form, reguł i zasad moralnych, mimo że dalekie od istotnej moralności, a nawet czasem sprzeczne z nią całkowicie, może wywołać wrażenie istotnej moralności, choć nią oczywiście nie jest.

Podobnie się przedstawia sprawa we wszelkich dziedzinach kultury. Powstaje wtedy antykultura ludzaco podobna do prawdziwej kultury. Rozpoczyna się wtedy zatruwanie źródeł i podcinanie korzeni prawdziwych wartości. Kultura z bezinteresownej działalności ducha zamienia się w system sidła i pułapek na ludzi. Apeluje ona do istniejącego w każdym człowieku dążenia do prawdy, dobra i piękna w celu oszukania człowieka i obezwładnienia jego siły oporu i rozwoju.

Jeśli społeczeństwo najsurowiej karze fałszerzy środków spożywczych, jest ono obowiązane również do demaskowania fałszerstw kulturalnych, zatruwających ducha.

Znakomity znawca dusz, a w szczególności jej chorobliwych zakamarków, Dostojewski, w owej strasznej, ale życiowo mądrej powieści *Zbrodni i karze*, opowiada nam sen bohatera Raskolnikowa. Śnił on w swej chorobie, że cały świat miał paść ofiarą straszliwej niesłychanej i nigdy przedtem nie pojawiającej się zarazy... Wszyscy mieli zginąć poza bardzo małą liczbą wybranych. Pojawił się nowy rodzaj trychin, istot mikroskopijnych, które zagnieźdżały się w ciałach ludzkich. Istotami tymi były jednak duchy, uzbrojone w rozum i wolę. Ludzie, w których się one zagnieźdżały, ulegali natychmiast opętaniu i szaleństwu. Nigdy

jednak nie uważali się ludzie za tak mądrych i niewzruszonych w swej mądrości jak owi zarażeni. Nigdy nie uważali swych sądów, swych naukowych wyników, swych moralnych doświadczeń i wiary za bardziej niewzruszone niż obecnie. Całe wsie, całe miasta i narody zarażały się i postępowały jak szaleńcy. Wszyscy żyli w niepokoju i nie rozumieli się wzajemnie, każdy sądził, że tylko on zna mądrość i zamierał z bólesci, patrząc na innych, uderzał się w piersi, płakał i załamywał ręce. Nie wiedzano kogo i jak należy sądzić, nie można było dojść do porozumienia, co trzeba było uważać za dobre, co zaś za złe. Nie wiedzano kogo należy oskarżać, kogo uniewinniać. Ludzie zabijali się wzajemnie w nierozumnym szale. Całe armie zbierały się przeciw sobie, ale te same armie zaczęły już podczas marszu bić się ze sobą, szeregi rozpadały się, żołnierze rzucili się wzajemnie na siebie, kłuli, zabijali się i pożerali. W miastach dzwonił nieustannie dzwon alarmowy – zwoływano wszystkich, ale kto i po co zwoływał nie wiedział nikt, ale wszyscy byli pełni największego niepokoju. Porzucano zwykle rzemiosło, gdyż każdy przybywał ze swoimi myślami, ze swoimi poprawkami i nie można było uzyskać jedności. Rolnictwo zamierało. Tu i ówdzie zbiegali się ludzie, zjednoczyli się w jakiejś sprawie, przysięgali, że się wzajemnie nie opuszczą – ale natychmiastowo zaczęli robić coś innego niż to, co właśnie uchwalali, zaczęli się wzajemnie oskarżać, bić i mordować. Wszystko i wszyscy ginęli. Zaraza narastała i rozszerzała się coraz dalej.

Sen przytoczony przez Dostojewskiego ma charakter symboliczny. Nie trudno jednak pojąć, że chodzi o skutki pomieszania wszelkich wartości, spowodowane przez antykulturę, przez zaprowadzenie chaosu w najistotniejszej problematyce ludzkiej, przez działalność paczącą pod pozorami kultury istotę kultury ludzkiej.

Człowiekowi, który sporo widział i mógł się przypatrzeć procesom odbywającym się w dziedzinie kultury, sen ten nie wydaje się fantastyczny. Przedstawia on rzeczywistość, zatrutą przez antykulturę, to groźne zjawisko duchowe, które zamienia człowieka nie w zwierzę już nawet, lecz w obłąkanego demona.

Tyle na dziś o fałszach kultury. Następna konferencja będzie o kulturze w rzetelnym jej pojęciu i rozumieniu.

Rzym, 10 października 1965 r.

CZYM NIE JEST I CZYM JEST RELIGIA CHRZEŚCIJAŃSKA?

Religia to nie tylko liturgia, choćby najwspanialsza, z jej czarem poetyckim i głębią symboliki.

Nie jest też ona ucieczką bezsilności. Tam, gdzie mogę sobie dać radę, nie szukam pomocy. Dopiero w czasach klęski sięgam po jej recepty i lekarstwo. A przecież religia jest jeszcze bardziej potrzebna mocnym i dzielnym. Im bowiem tak łatwo poddać się urokowi samowystarczalności albo – powiedzmy to szczerze – samodurstwa.

Religia to też nie tylko moralność, czy też zadowolenie naszych uczuć, sentymentów. Religia nie jest też namiastką nauki albo lękiem przed tajemnicą. Religia wreszcie to nie wygodna sjeść w kruchcie kościelnej.

Religia jest i tamty, ale przede wszystkim czymś o wiele większym; to wielka dziedzina moralności jednostkowej i zbiorowej; to zarazem potężna struktura dogmatu, która ma tyle połączeń z nauką i filozofią. Religia to „poświęcaj się”, „walcz o prymat swojego ducha”, „bądź cnotliwym, choć instynkta twe i zmysły wyją wprost na uwięzi”.

Trafnie tę myśl wypowiedział Stanisław Brzozowski, dłuższy czas niewierzący, gdy pisał: „Katolicyzm jest dziwną budową. Kto nie usiłuje wżyć się weń, nie zna jego tajemnicy, jego czarów.

Przeciętny Polak–katolik mało lub prawie nic nie wie o tym, jak głębokim umie być katolicyzm, gdy się w nim szuka głębokości. Kościół posiada swoje kaplice dla samotników, krypty dla myślicieli, baszty dla rycerzy: to co orle, i to co podziemne w ludzkiej duszy, znajduje tu schronienie” (S. Brzozowski, *Legenda Młodej Polski*, Lwów 1910, s. 72).

Prawdziwie religijni będą ludzie, którzy idą niezmordowanie po ciężkiej drodze obowiązku, idą z rozmachem przez życie wtedy, gdy w piersi grają silne zwykle ludzkie pragnienia, gdy uśmiecha się i nęci świat... Tak jak na sztychach Rembrandta promień wiekuistego światła przenika do najciemniejszego zakątka stajennego, tak samo człowiek religijny gotów jest nawiązać wszystkie funkcje i czynności życiowe do najgłębszych podstaw religii. Niekoniecznie jednak musi myśleć ciągle o rzeczach ostatecznych. Przecież muzyk, który gra jakiś utwór, nie rozwiązuje zarazem zagadnień z teorii muzyki. Religijny człowiek ma zmysł misjonarza, bo pragnie, aby każdy doznał tych przeżyć, jakie sam odczuwa. Liczna elita poszczególnych krajów nie tylko wraca do religii, ale chwyta za pióro i natchnionym swym słowem usiłuje pomnożyć Królestwo Boże w duszach ludzkich i w ten sposób rozwiązać niepokojące zagadki bytu współczesnego świata.

Co prawda, nie tak często spotyka się ludzi rzetelnie traktujących swoją wiarę. Ale są, nawet nieraz przechodzą koło nas, najczęściej niedostrzegani. Niektórzy może nazwą ich histerykami, niezrozumiałymi mistykami, na słowo „świętość” pogardliwie wzruszą ramionami. Ale czyż i geniusza nie nazwano obłąkańcem? Dla takich ludzi królestwo róż najcudniejszych i najrzadszych, których kolor przypomina krew słońca, nalaną w rubinowe błonki mgły – jest strawą dla chlewni, siekaną kuchennym tasakiem. Tacy ludzie nie pojmą nigdy, że można coś bezinteresownie ukochać. Biedni! Uważają, że serce ludzkie ma uboższą gamę uczuć, niż pies, który zna miłość czystą, bo i on czasem po śmierci pana umiera nad pełną miską jadła. Nazwać geniusza obłąkańcem, a świętość histerią – jest to obłęd Pigmejów, którym się rozum pomieszał na widok Tytanów.

Rozumiemy wszyscy, że życie współczesne musi ulec przemianom w kierunku wzmocnienia sił duchowych i ugruntowania podstaw ideowych. Ludzkość musi ukochać pracę, wysiłek, mózół. Co więcej: potrzeba dzisiejszemu człowiekowi takiego zapału, który pozwoliłby znosić najcięższe doświadczenia i bagate-

lizować

doczesne kłopoty i troski. Bez ludzi duchowych życie kurczy się i ubożeje w sposób nieznośny tak, że w końcu z braku ducha i miłości, a narastania nienawiści i powierzchowności rośnie cała dumna architektura praktycznej celowości.

Sobór obecny ma za zadanie naświetlić te prawdy, wykrzesać ze siebie i z chrześcijan wielkie ognisko miłości, zamięłowanie prawdy i cnoty. Bo tylko w ten sposób świat pójdzie drogą rzetelnego postępu i wypełni swą misję od zarania nakreśloną mu przez Boga, a mądrymi życiowymi wskazaniem Chrystusa i Kościoła pomagającymi w tej trudnej, ale jakże ważnej sprawie.

A Chrystus dał taką naukę, która jest dana ludzkości na wszystkie czasy. Zachwycali się nią przeliczni ludzie. Kilka cytatów przytaczam na zakończenie tej konferencji. Wypowiedzi te wyszły spod pióra ludzi, którzy doświadczeniem i przeżyciami doszli od niewiary do głębokiej religijności.

Ignacy Paderewski:

„Ale co jest dla nas natchnieniem i podniesieniem ducha i na zawsze będzie wspaniałym wyrazem piękna lirycznego – to Ewangelie. Mają one swoje muzyczne piękno poza wszelkim porównaniem i muszą odpowiadać każdej wrażliwej naturze. Od mej młodości wstrząsały mną one i podtrzymywały mnie i pozostaną ze mną na zawsze w ich łagodnym wzlocie i pięknie”.

Pięknie też o Ewangeliach pisze rosyjski pisarz Mereżkowski.

„Codziennie czytywałem Nowy Testament i będę czytał go, dopóki będą mogły patrzeć moje oczy i gdziekolwiek widno będzie – czy to w świetle słońca, czy przy blasku kominka, w jasny dzień lub ciemną noc, w szczęściu i w nieszczęściu, w dniach choroby, w chwilach ufności i momentach rozpacz, w radosnym podnieceniu i w przygnębieniu. Zawsze czuję się tak, jak gdybym czytał, coś czego nigdy nie zdołam przeniknąć aż do najdalszej głębi, aż do ostatecznego końca.

Starła się złota krawędź mojej książki, pożółkł papier, rozpadła się oprawa skórzana, a grzbiet uległ rozluźnieniu. Niektóre stronicie są oderwane, potrzeba je na nowo przyszywać, ale ja nie mogę oderwać się od czytania. Cofam się z przerażeniem przed myślą, że mógłbym choć na dwa dni być oderwanym od niego [...]. Co mają mi włożyć do trumny – Pismo Święte. Z czym powstanę w dniu zmartwychwstania? Czego dokonałem na ziemi? – Czytałem Pismo Święte.”

Wreszcie bardzo utalentowany, lecz przedwcześnie zmarły od ran otrzymanych na wojnie Eugeniusz Małaczewski:

„Ewangelia pisana jest słowem, podobnym do gwiazd, błyskawic, ptaków niebieskich, kwiatów polnych [...]. Ale jej królowanie nad nami wiekuiste, zawarte w mocy jej. W ciągu 19 wieków tysiące milionów ludzi czerpało ze źródeł tej mocy wszystką duszą i sercem całym, lecz źródłom nic nie ubyło z ich wody żywej, podobnie jak rzesze najliczniejsze nie zdołałyby w ciągu wieków, pracując wszystkim mnóstwem swych dłoni, wyczerpać głębin Atlantyku [...]”. (*Koń na wzgórzu*)

Rzym, 22 października 1965 r.

CZEGO POLSCE POTRZEBA?*

1. Nienawiści i miłości – Nie możemy zaprzeczyć, że wśród uczuć jednym z najpotężniejszych jest nienawiść i płynąca z niej zemsta. Horus na zapytanie Ozyrysa: „Co jest najpiękniejszego na świecie?” – miał odpowiedzieć „Zemsta za wyrządzoną krzywdę”, „Rozkoszą bogów, którzy krwi łakną, jest zemsta” – głosiło greckie przysłowie. „Oko za oko, ząb za ząb” – oto znów jedno z przykazań starozakonných. I dziś świat jest po prostu opętany przez nienawiść i szal zniszczenia i zemsty. Za krzywdy naprawdę wyrządzone, ale również i za krzywdy urojone, których nigdy nie było ... Świat, któremu opary krwi przesłoniły jasność spojrzenia, nie umie już odróżnić w ciemnościach krzewiciela światła od podpalacza. Dziś nienawiść ludzka jest naprawdę na miarę złych demonów. Głosi się jawnie nową „ewangelię” nienawiści.

A tymczasem chrześcijaństwo postawiło na czele swych przykazań miłość.

Są więc dwie sprzeczne ewangelie – ewangelia świata i Ewangelia Chrystusa? Tak i nie. Tak, ponieważ miłość i nienawiść – to ogień i woda. To dwa przeciwstawne systemy etyczne. Ale też jest prawdą, że nienawiść ma nie tylko swoje uzasadnienie psychologiczne, ale też w pewnych warunkach jest zgodna z duchem Chrystusowym. Wszak i On wypędzał kupczących ze świątyni, oburzony do żywego, że Jego dom zamienili na jaskinię zbójców. Przecież to Chrystus rzucił klątwę na bezduszną obłudę faryzeuszów. Zapowiedział też straszliwą pomstę nad przewrotnym światem. Jako sankcję ustanowił karę wiekiustą ... A więc nienawidził. Tak, nienawidził zło, grzech, upodlenie człowieka, krwią Jego odkupionego. I nas właśnie uczy tej nienawiści. Nauka Chrystusa wypowiedziała walkę biernemu przyglądaniu się krzywdzie: niesprzeciwianiu się złu. Chrystus kazał walczyć, a nawet kłaść swe życie za ideały święte. Gdy na przykład naród broni swej słusznej sprawy i siłą przeciwstawia siłę, pełni swój obowiązek chrześcijanina, zdając egzamin charakteru i zdrowia moralnego. Ba, nawet wówczas, gdy naród przewiduje klęskę, musi w imię wyższej moralnej racji stanu stoczyć bój ze śmiertelnym wrogiem. Bo pewny jest tej prawdy, że upaść może każdy naród, ale zginie jedynie nikczemy. A nikczemy jest ten, kto myśli o tej wyłącznie chwili i nie wie, iż gorsza jest utrata wielkości ducha, idei, aniżeli nawet niepodległości. Narody, które w nierównej walce straciły swój byt polityczny, zmartwychwstałą, gdyż żyć będzie idea narodowa, za którą krwawiły i ponosiły klęskę. Dzieje dostarczają nam wielu przykładów tej prawdy. I u nas również. Poza tym każdy naród walczący o swe najwyższe dobra, choćby nawet ponosił klęskę za klęską, staje się przykładem dla innych i w ten sposób podtrzymuje ogólnoludzkie wartości idealne. Poza tym granaty i bomby otworzyły serca ludzkie, a miotacze płomieni oczy i świat ujrzał i odczuł taki bezmiar zbrodni i okrucieństwa, że pod ich uderzeniem zrozumiał, że to właśnie Polska była tą pierwszą ofiarą, która wyciągnęła na światło dzienne demony, ukryte jeszcze częściowo przed światem,

* Fragmenty przemówienia zamieściło „Słowo Powszechne”, 1966, z dnia 17–18 IX 1966 r.

gnieźdzące się w duszy grabieżczych narodów. Pokazała przy tym namacalnie, jak te kultury bez Boga stały się zarazem kulturami antyczłowieczymi. I właśnie w tym leży również jej wielka zasługa. Czyli nienawiść poddania się sromotnego bez walki, nienawiść zła nie są sprzeczne z duchem Ewangelii. Byle więc również duchem walczyć o ducha, być gotowym dla wyższej sprawy oddać życie swoje, czyli najwyższe na ziemi dobro materialne. Tylko ten może zapomnieć i przebaczyć, kto czyni to nie z nikczemnej obojętności albo słabości charakteru, ale z tak wygórowanego pożądania walki przeciw złemu, że go i we własnej duszy nie chce dłużej znosić ani urzeczywistniać. Innymi słowy: walka ze złem trwać musi i będzie. Ale racją jej istnienia i najwyższym motywem musi być Miłość Najwyższa. Nienawidzimy dlatego, że kochamy. Oto synteza nienawiści i miłości. Ale gdy nienawidzimy dla niższych pobudek, niegodni jesteśmy Miłości Najwyższej. Otóż Polsce potrzeba nienawiści: zła, małoduszności, opieszałości, tchórzostwa, a miłości: poświęcenia, ofiary, miłości ludzi. Pięknie to wyraził Skarga, gdy wołał: „Wiara ich [tj. heretyków] paskudna, ale krew droga”! Małość duszy tak znów potępiał: „A najszkodliwszy są katolicy bojaźliwi, małego serca, którzy gniewem się sprawiedliwym i świętym ku obronie czci Boga nie zapalają”.

2. Polsce potrzeba jeszcze mocy ducha. Złotymi głosami zapisała się w historii narodu polskiego odpowiedź Bolesława Krzywoustego dana cesarzowi Henrykowi V: „Jeśli pieniędzy naszych lub rycerzy polskich żądasz, to mielibyśmy się za niewiasty, a nie za mężów, gdybyśmy wolności swej nie bronili... Zatem bacz, komu grozisz: jeśli chcesz wojować, znajdziesz wojnę”.

A inny mąż, hetman Stanisław Żółkiewski, tak pisał do syna w sławnym swoim testamencie:

„Wiarę świętą chrześcijańską, powszechną mocno i statecznie trzymaj. Dla niej krwi rozlać i żywota położyć nie żałuj. Odplata u Pana Boga za to, kto dobrą chęcią, dobrym sercem służy Rzeczypospolitej [...]. I poganie rozumieli, że śmierć dla Ojczyzny jest słodka [...] i u ludzi sławna i u Boga odplątna”.

Wprawdzie nie będziemy z zarozumiałością mówili, że Bóg jest z nami, bo tego nikt z ludzi nie wie, czy miłości, czy też nienawiści jest godzien, ale wierzymy mocno, iż On, który kieruje losami narodów, i nam wyznaczył dziejową misję i zlecił ją nam pełnić w pokoju i wojnie. Nie potrzebujemy się lękać nikogo tak, jak nieulęklým był dyktator ostatniego polskiego powstania Romuald Traugutt, który tak pisał w przeddzień aresztowania i swej śmierci:

„Przeciwnościami, niepowodzeniami nie zrażać się; spotykane przeszkody tylko zdwojoną energią do ich pokonania wywołać powinny”.

„Gdy się dobrowolnie oddaje życie swe – pisze współczesny chłop polski – to się je sprzedaje drogo: za Ideały”.

3. Polsce potrzeba jeszcze lepszego rozumienia, że człowiek cały, a nie tylko strona materialna, jest twórczy. Stąd odrzuca hasło: *homo oeconomicus*, który wszczyna wojnę dla rynków zbytu, dla Lebensraum. Człowiek – to cały człowiek – z duszą i ciałem. O te dwa bieguny osobowości zadbać musi. Ale o żadną wyłączenie. To też w narodzie polskim jest dostojne poczucie własnej godności, god-

ności ludzkiej. Tym więcej ją ceni, im bardziej poniewierano nim. Rozumnie też doskonale, że egoizm narodowy czy klasowy nie jest wcale zjawiskiem nowym. Tkwi on korzeniami swymi w nienawiści, chciwości i pysze. Toteż powtarza się często. U niektórych zaś ludzi i narodów dochodzi do szczytu, o ile taki naród zagubi busolę moralną. Dlatego też wszystkie prądy tak zwane totalitarne wypowiedziały zaciętą walkę religii chrześcijańskiej, walczącej jedynie skutecznie z brakiem miłości, „pożądliwością ciała, oczu i pychą żywota”.

Ciekawe też obserwowaliśmy zjawisko w obozach koncentracyjnych czy więzieniach, że najbardziej ludzcy byli dozorczy katoliccy.

Naród polski nie da się uwieść hasłami dotyczącymi tylko powierzchni zagadnienia, a nie mówiącymi nic o głębi prawd życiowych.

4. Polsce potrzeba jeszcze wiary w wielkość. Nie podlegajmy manii wielkości, bo pycha gubi pojedynczych ludzi i całe narody. Pycha bowiem to kłamstwo, a na kłamstwie życia na trwałe budować nie można. Ale przy tym wiemy, Rodacy, że ziemię, na których żyjemy i umieramy i których bronić mamy, zamieszkujemy od wieków. Tysiąc lat – to nasza historia związku z krzyżem Chrystusowym. Ale na tych ziemiach żyliśmy za długo, długo przedtem. Jak bezstronni uczeni dowodzą jesteście tu od kilku tysięcy lat. Wykazała też polskość naszych ziem zachodnich ostatnia wojna światowa.

Również i granice Słowian szły daleko, daleko na Zachód. Od stepów ruskich aż po Ren, Słowianie byli panami i gospodarzami tej ziemi. Pomorze całe to również nasza kraina. Za Zygmunta Augusta mieliśmy jeszcze 1100 km wybrzeża! I wróciliśmy znów na te ziemie.

Jednak ta miniona potęga Polski nie tylko Piastów i Jagiellonów, ale i Słowiańszczyzny staje nam przed oczyma jako wizja wspaniała i ... obowiązująca.

Twardzi teraz będziemy, jak owi Słowianie, którzy 5 km od Berlina, w Spreewald, gdzie tępieni i wynarodawiani, mówią dziś jeszcze – słuchajcie! – słowiańskim językiem.

Jeszcze należy wysunąć jeden moment, warunkujący wielkość Narodu Polskiego. Jest nim uczuciowość polska. Liczne stąd pochodzą braki charakteru narodowego, jak indywidualizm, wybuchowość, słomiany ogień zapału, skłonność do zwady i przesadnej krytyki, nadmiar różnych skrupułów i urazów psychicznych, zamiłowanie do frazesu i niechęć do głębszego myślenia... Ale też uczuciowość polska zawiera w sobie jedną wielką zaletę: płomienne, jednoczące wszystkich czucie patriotyczne i religijne.

Nasz naród jest narodem indywidualistów, jak to mocno podkreśla historia. Ale naród nasz potrafi też być monolitem – niedawno, jak teraz. Rozumie jednak dobrze nasz naród, że nie zgoda dla zgody, dla świętego spokoju, a więc właściwie zgoda małych dusz i małych idei, ale zgoda na pewne podstawowe, wypróbowane fundamenty naszego bytu.

Próbę wieków wytrzymał sojusz polskości z Kościołem katolickim. Tysiąc lat temu Krzyż i Orzeł Białe stały się nierozdzielalnym symbolem naszej wielkości

i chwały. Doceniają to dziś prawie wszyscy. Pod znakiem Krzyża staje bez mała Polska cała. Pod tym znakiem zwyciężała i zwyciężać będzie. I tu w Rzymie na Wzgórzu Watykańskim biskupi polscy umacniają swe siły duchowe, by je przelewać coraz intensywniej i skuteczniej w naród polski.

Zakończmy te rozważania serdeczną modlitwą do naszej Matki Kościoła:

Królowo mórz dalekich roztocz Swą opiekę nad morzem polskim.

Gromniczna Boża Matko otul swym płaszczem wioski i miasta nasze. Daj plony obfite polom i łąkom naszym, Siewna i Zielona Rozdawniczko dobra wszelakiego!

Nie dopuść pohańbienia Twych obrazów świętych, na Jasnej Strażnicy i w Ostrej zawieszonych Bramie!

Twą chwałą królewską goreją: Grunwald, Częstochowa, Chocim, Kirchholm, Wiedeń, Konfederaci Barscy, Powstania, Westerplatte, Warszawa – te punkty zwrotne dziejowego naszego bojowania. Wiemy o zmienności losów ludzkich, ale też przeświadczeni jesteśmy o wiecznej miłości naszego Narodu ku Bogu i Najdroższej Pani.

Uproś wreszcie u Syna Twego, Orędowniczko i Pośredniczko nasza, moc ducha dla narodu naszego.

Spraw, by potomność z chlubą wspominała imię nasze, tak jak my czcimy imiona wielkich synów Polski.

Bogarodzico, Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo, ziści nam pokój i szczęśliwość, wielkość spuść na nas, Kyrie elejson.

Rzym, 29 września 1965 r.

PROBLEM ŻYCIA I ŚMIERCI*

„Dni moje pędzą jak dym, a nie widziały dobra. Minęły jako łódzie jabłka niosące, jako orzeł lecący do żeru”. (Hi 9, 25–26)

„Potem widziałem rzeszę wielką, której nikt nie mógł przeliczyć, ze wszystkich narodów i pokoleń i ludzi i języków, stojących przed stolicą i przed obliczem Baranka, przyobleczonych w szaty białe, a palmy w ręku ich”. (Ap 7, 9)

Życie i śmierć, czas i wieczność – oto sprawy, które muszą obchodzić każdego z nas. Niebezpiecznie jest żyć, nie oswoiwszy się z myślą, że śmierć ma klucz od drzwi naszych i każdej chwili dnia i nocy może przed nami wyrosnąć jak spod ziemi.

Stosunek do śmierci może być albo wrogi, albo pełen rezygnacji, albo człowiek może zrozumieć sens śmierci.

Stosunek do śmierci, jako do czegoś, co wszystko niweczy i bezmiarem roz-

* Pierwodruk w: WDL, 1966, nr 6, s. 113–116.

paczy napelnia, Stefan Żeromski w powieści *Ludzie bezdomni* takie wyznanie wkłada w usta jednego ze swych bohaterów (Korzeckiego).

„Zacznę się bać samotności i śmierci, zacznę cierpieć tak strasznie tak przerażająco. W języku ludzi nie ma na to imienia [...]. Tylko straszliwa muzyka Beethovena czasami roztworzy podwoje tego cmentarzyska, gdzie w nocy wiecznej wyje płacz jakiejś istności ludzkiej, która straciła rozum i błądzi, błądzi bez końca, szukając ratunku”.

Można też myśleć o śmierci ze spokojną rezygnacją. Wprawdzie rezygnacja ma wielką wartość, tak jak spadochron, który rozwija się w porę, bo chroni od upadku, jednak niewiele ona wnosi w rozumienie życia i sensu śmierci.

Wreszcie można spojrzeć śmierci w oczy rozumnie i swobodnie, jak człowiek wolny.

Gdy przed wojną umierał biskup Łoziński rzekł do czuwającego przy nim kapłana: „Pamiętaj, gdybym zasypiał, to obudź mnie, żebym nie przespał chwili tak pięknej, jaką jest śmierć: chcę umierać przytomnie”.

Różne są więc gatunki dusz i różny ich pogląd na śmierć i na rzeczy wieczne.

My zebrani w świątyniach Pańskich i na niezliczonych cmentarzach naszego Kraju w zadumie patrzemy i w przeszłość i w przyszłość naszą i naszego Narodu. Nie można sobie przede wszystkim wyobrazić kultury bez obcowania z wielkimi zmarłymi. Wszystkie narody są jakby obciążone swoją historią. Bo też i trudno jest nie przyjąć, że u podstaw naszego własnego trudu jest oddech odległej pracy. Dlatego też narody wspominają i swoje rocznice i swoich zmarłych i świętych.

Każde piękne serce i każdy szlachetny umysł kocha przeszłość, tradycję, ten wieczny pień przeszłości, z którego wyrosła i jego dusza. Wyczuwa ciągłość wśród zmian tak, jak niezmiennność rzeczy świętych.

Wiedząc zaś o tym, że i on stojący nad grobami zmarłych, niezadługo powiększy ich grono i wejdzie w inny świat, nie może nie zastanowić się nad tem, co też on zostawi po sobie na ziemi i z jakim dorobkiem pójdzie przed Sąd Sprawiedliwego. Wie dobrze, że religia, którą wyznaje, religia chrześcijańska jest religią miłości. Nie tej papierowej ani tej odświętnej, ale tej prostej, pokornej, na co dzień, która angażuje ich osobiście, która kosztuje. Bóg cię zapyta przede wszystkim o to, jak żyłeś i jak odnosiłeś się do bliźniego. Przecież z tego głównie będziesz zdawał rachunek: Byłem głodny, nagi, spragniony – a nie dałeś mi tego wszystkiego.

W jednym z filmów o św. Wincentym a Paulo, święty wypowiada taką myśl: „Wiem, że bliźni jest bardzo niewygodny. Chcielibyśmy sobie usiąść za przypiekiem, zdrzemnąć się błogo, a tu masz, puka nam do drzwi! Powiada, lub co gorzej, nie powiada, że głodny! Że smutny! Że mu ciężko! Że złe myśli po głowie mu chodzą. Masz tu, babo, redutę! Trudno: pomagam mu, stawiam na nogi – lecz to nie koniec: Dasz palec, chwytają się za rękę! Dasz rękę, owijają ci się wokół ciała jak wąż Laokoona! Najgorzej zacząć z tą miłością – powiada imię Wincenty – bo już ci ani żyć, ani spać nie daje. Najgorzej zobaczyć tego bliźniego (wielu z was, synaczkowie, nie widziało go nigdy), a już czyha na ciebie stugłowy, za

każdym węglem. Najgorzej zacząć! Miałbym na ten temat bardzo poważne wątpliwości, gdyby jeszcze gorzej nie było nie zacząć w ogóle. Bo trudna to rzecz, serdeczko, i bardzo niebezpieczna wadzić się z miłością. Proceder, który bardzo źle się kończy.

Nie tylko na tamtym świecie. Wierz mi, mówię ci z doświadczenia: kto miłość skazuje na banicję, kto zasklepia się w sobie, jak w trumnie, tego żywcem robaki jedzą. Bośmy dla miłości stworzeni, serdeczko, i kto miłości nie chce, ten popełnia samobójstwo”.

Można odejść od bliźniego – prawda – ale jakże wówczas ubożesz i niechybnie za nim zatęsknisz.

Piękna legenda arabska opowiada, że pewien zabójca ucieka z plemienia swego na pustynię. Nienawidził i nienawidzi ludzi. Po wielu tygodniach samotności zoczył ślad na piasku stóp ludzkich. Rzucił się ze szlochem na ziemię i ucałował jak kogoś najbliższego.

Nie obca też nam jest świadomość, że ziemia nasza, która jest tak bogata w groby i rozsiane po niej prochy tych, co oddali swe życie za nią, jest drogą naszą Matką. Pięknie ujął jeden z pisarzy tytuł swej książki: Ziemia gromadzi prochy. Odzyskany dla Macierzy szmat utraconej przed wiekami ziemi polskiej powiększył nasz skarb rodzinny i rozszerzył serca nasze.

Zaduma nad mogiłami zmarłych nasunie Ci na pewno jeszcze inną myśl. Straszliwe spustoszenie obydwu wojen światowych, ileż pochłonęły istnień ludzkich? Iluż dramatów jednostek, rodzinnych i narodowych była sprawczynią! Zgrozą przejmują takie nazwy, jak Majdanek, Oświęcim, Buchenwald, Grossrossen, Rawensbruck, Dachau, Mauthausen i wiele wiele innych... Prawda, że już w części są one zapomniane nawet przez tych, co przeszli przez to piekło.

Szkoda byłaby wielka, gdyby łagry ten straszliwy plód zła, jaki człowiek wydał na świat, utonął w rupieciarni historii, w zapadni zdarzeń przebrzmiałych i nieaktualnych. Bo trzeba z nich ciągle wysnuwać wnioski i to wnioski zbawienne, twórcze: cześć pamięci męczenników za wiarę lub Ojczyznę oraz dążyć do uniemożliwienia powstania nowych narzędzi kaźni. Ujawniać te siły, które pozwoliły trwać i przetrwać ten koszmar. Źródła sił i odporności ukazywać następnym pokoleniom, by wiedziały, ile gdy trzeba, człowiek ma w sobie mocy duchowej i jak ją należy wyzyskać dla rozwoju osobistego i dobra wspólnego.

Te myśli nasuwają też inny problem: konieczność pokojowego współżycia ludzi i narodów między sobą. Podstawą tego będzie sprawiedliwość i miłość – te dwa zwornicze punkty wszelkiej społeczności ludzkiej.

Zaduma nad mogiłami zmarłych wywołuje też postanowienie, by pracować nad polepszeniem warunków życia na ziemi. Myśl o tych co odeszli, a zostawili po sobie dorobek materialny i duchowy, które jak mistyczna łuna świecą dziś nad ich mogiłami, nastraja nas poważnie nad życiem. Trzeba więc i nam pomnożyć dobro, rozwinąć złożone w nas talenty i przejść do wieczności z największym bagażem dobrych uczynków. Bo tylko to tam w zaświecie coś znaczyć będzie.

Świątych obcowanie – to duchowa łączność żyjących na ziemi ze zmarłymi, ze świętymi, by z ich życia czerpać natchnienie do swego co dnia lepszego żywota. I choć dni nasze mijają szybko, jednak nie miną bez śladu, dla nas i dla innych ludzi i dla następnych pokoleń.

Rzym, 1 listopada 1965 r.

KULTURA KATOLICKA

Był czas kiedy słowo „katolicki” było wstydliwie wymawiane. Używano raczej terminu: chrześcijański, jako pojęcia niby szerszego i bardziej, mówiąc stylem dnia dzisiejszego – ekumenicznego. Pamiętam moją tuż przed wojną, kilka dni trwającą dyskusję w Kosowie w czasie tam spędzanych wakacji ze śp. profesorem Ignacym Chrzanowskim. Wyklócaliśmy się bardzo o te terminy. Profesor z zapalem i przekonaniem twierdził, że „katolickość” jest zubożeniem chrześcijaństwa, że jest to zaścianek wyznaniowy obok religijnych pól nauki Chrystusowej. Kultura rzetelna nie może dać się zamknąć w wąskich ramach tej wyznaniowości itd.

W mojej dzisiejszej konferencji, z konieczności ograniczonej paruminutowym czasem, mam właśnie poruszyć temat kultury katolickiej.

Nie znał bowiem Profesor wszystkich wypowiedzi wybitnego, choć przedwcześnie zmarłego, pisarza i filozofa Stanisława Brzozowskiego, który napisał: „Katolicyzm jest dziwną budową. Kto nie usiłował wżyć się weń, nie zna jego tajemnic, jego czarów. Przeciętny Polak-katolik mało lub prawie nic nie wie o tym, jak głębokim umie być katolicyzm, gdy się w nim szuka głębokości. Kościół posiada swoje kaplice dla samotników, krypty dla myślicieli, baszty dla rycerzy: to, co orle i to, co podziemne w ludzkiej duszy, znajduje tu schronienie” (S. Brzozowski, *Legenda Młodej Polski*, s. 72). Gdy mu je podałem zastanowił się i powiedział: „To piękne, ale czy prawdziwe?” Drugie wakacje z nim spędzone w Kosowie były dla mnie przełomowe: kochany Profesor stawał już u progu kaplicy w ogrodzie, nie tak jak przedtem jej unikał. Niezadługo odbył swe ostatnie rekolekcje w tragicznym dla wielu i dla niego obozie koncentracyjnym.

Kultura katolicka ... czy jest taka w ogóle i jakie ma cechy wyróżniające? Przede wszystkim jest to kultura w pełni ludzka. Bo człowiek został stworzony przez Boga na Jego obraz i podobieństwo. Dzięki temu otrzymał od Niego pełnię człowieczeństwa, czyli wolę, którą skazil i poczał szukać szczęścia tam, gdzie go często nie znalazł. Prócz rozumu i woli dał mu Bóg objawioną naukę, która miała wskazywać mu na krętych szlakach pochodzenia ku wieczności proste i wiodące do celu drogi. Wypełniły się czasy i przyszedł na świat Bóg-Człowiek, Chrystus, który po wszystkie czasy założył swój Kościół i jest Jego Głową i z nim przez Ducha Świętego i przez Eucharystię na zawsze złączony. A więc kultura, którą ma wcieleć w życie Kościół jest kulturą i ludzką i Bożą. Stąd płynie jej wielkość, pewność i znaczenie. Tyle o teologii Kościoła. Ale Kościół jest zarazem złożony z ludzi:

dobrych i złych, małoszkowych i o szerokich horyzontach, zwykłych zjadaczy chleba i geniuszów cnoty, mądrości, artyzmu. Zdaje on egzamin już dwa tysiące lat. Wchłoniął i wchłania wszystko, co płynie z krainy Prawdy, Dobra, Piękna, Cierpienia i Ofiary. Wszystko, co Boże i ludzkie nie jest mu obojętne.

Kościół bronił i ochraniał starożytną kulturę. W muzeach są posągi starożytne, ba nawet mumie egipskie. I nie mogą tam nie być, bo są one ludzkie.

Kościół też ciągle podkreślał prymat ducha nad materią, którą nigdy nie gardził, jak to czynili manichejczycy i nowocześnie pseudoesceci.

Wysuwał jeszcze jakość nad ilość, dlatego dbał nie tak o liczbę swych wyznawców, którą również cenił, ale o wartość wewnętrzną swych wiernych. Cenił w nich najwyższe znaczenie dla kultury: twórczość.

W Kościele obowiązują czysto kulturalne sprawdziany, np. Kościół woli słabego pisarza katolickiego od słabego pisarza niekatolickiego z czego nie wynika, by przepadał za słabymi pisarzami. Woli też genialnego pisarza katolickiego od genialnego pisarza niekatolickiego i umie rolę tej genialności ocenić. Dlatego też krytycznie ocenia tych pisarzy, którzy choć głoszą prawdę podają ją w niedołężny i niekomunikatywny sposób, a nagradza tego, kto robi to na poziomie artystycznym. Bo przecież katolicyzm to „moralność” ludzka wyrażona w pełni i doskonałości. Odnosi się to do wszystkich dziedzin kultury, a więc malarstwa, muzyki, rzeźby, architektury itd. Właśnie niezliczone przykłady wszelkiego wkładu Kościoła w sztuki piękne i literaturę są tego najwymowniejszym przykładem.

Kościół z natury swego powołania wyzwał jednostki spod tyranii warunków zewnętrznych. Z Chrystusowej nauki ciągle przypomina światu, że więcej należy słuchać sumienia i Boga niżli ludzi. Wojna ostatnia pokazała, jakich zbrodni dopuścił się naród, gdy w ślepym posłuszeństwie dla władzy bez czci i wiary widział swój honor, dobro i godność...

Kościół też naucza stale o etycznym sensie życia, o godności i przeznaczeniu człowieka, o sprawiedliwości społecznej. Broni też mocno i wytrwale wartości rodziny chrześcijańskiej.

Największą zasługą Kościoła jest ustawiczne przypominanie światu o pokorze intelektualnej tak bardzo potrzebnej pseudorządom tego świata, a w szczególności o miłości i dobroci tych najważniejszych współczynnikach szczęścia i pokoju na świecie.

Prawda, że Kościół nie może wszystkiemu zaradzić i zapobiec, ale najgorsze nawet systemy i czasy humanizuje.

Tyle i wiele więcej dokonuje Kościół w świecie. A przy tym składa się z ludzi z ich wadami i zaletami, z ich upadkami i wzlotami. Kościół powszechny, złożony z wielu narodów i milionów wyznawców. Zarzuca się ludziom Kościoła niejedno. Najczęściej słusznie. Ale właśnie to, iż nie z powodu nauki swojej, ale słabości ludzkiej upadał i ponosił klęski jednak zawsze się z nich dźwigał – świadczy o przedziwnej mocy udzielonej mu przez Chrystusa, którego prawdzie nigdy się nie sprzeniewierzył.

Również w czasach największego upadku wydawał świętych. I to nie jednego lub kilku, ale całe rzesze. Czyni to po dzień dzisiejszy. Musi więc tkwić w nim jakaś niepojęta siła, jakieś odradzające się ciągle moce.

Bo kto jest święty? Przede wszystkim to c z ł o w i e k , więcej, człowiek przedłużony o wymiar Boży, pogłębiony o przepastną nieskończoność Boga. A przy tym nie pozbawiony wad, słabości, brzemienia win, grzechów i tego wszystkiego, co jest ludzkim tragizmem serca człowieczego. Ale on żyje na codzień z Chrystusem. On się kaja ze swych win. On przede wszystkim kocha. Jak św. Franciszek kocha całą przyrodę. Jak inni – wszystkich ludzi, tak jak ich ukochał Chrystus, a św. Paweł wyniósł miłość ponad wszystkie mądrości świata. Święty ubogaca świat i świat czuje, że świętość to nie jest piasek sypany na osie świata i nie jest to jej skręcanie, żeby się świat wolniej obracał.

A dzisiaj, myślicie, że nie ma już świętych? Są. Na pewno. I wśród nas. Tak jak było za czasów apostoelskich. Przecież wszyscy chrześcijanie wzajemnie między sobą nazywali się świętymi.

Święty Paweł Apostoł w listach swoich często pisał, że święci, którzy są przy mnie, pozdrawiają was: np. święci gminy chrześcijańskiej Tessaloniki, pozdrawiają świętych w innej gminie chrześcijańskiej. Świętość bowiem jest sprawą codzienną w Kościele, sprawą normalną.

Jeden z pisarzy (Gołubiew) tak pisze o świętych:

„Sięgnięcie do źródeł, zapoznanie się z kilku postaciami z bliska, ukazało mi rąbek tajemnicy świętości. Ich bogactwo, ich zawsze pozytywny stosunek do wszystkiego, co jest, ich twórczą nie negatywną ascezę, ich zaparcie się siebie dla kogoś czy czegoś, ich uparta walka z niedoskonałością, ich serca otwarte dla Łaski, ich gotowość i ufność, ich męstwo”. Dali oni kulturze olbrzymi zastrzyk dobra i wiary w człowieka, w jego wielkość moralną najważniejszą ze wszystkich wielkości, bo dopiero z niej spływa na życie jednostek i milionów jakiś odżywczy eliksir, wierność prawdzie, moc potężna Łaski.

I jeszcze jedno, świat dziś, często nieświadomie, tęskni za świętymi, to widać choćby z wielkiego hołdu, jaki oddał naprawdę świętemu – Janowi XXIII, a Pawła VI witano w Indiach jako człowieka Bożego, świętego. Choć jeszcze nim nie jest, ale jest w drodze do tego szczytu człowieczeństwa.

Katolicyzm najpierw wchłoniął co było mądre w starożytności, a więc: z Grecji pojęcie człowieka i rozumu, zwyczajny rozum ludzki jako miarę wszystkiego. Przyjął wspaniałe teorie filozoficzne, społeczne, polityczne. Od Rzymian przejął prawo i naukę o jego poszanowaniu. A od Chrystusa: naukę o wartości człowieka, o godności osoby ludzkiej, która ma wartości nie tylko użytkowe, bo przeznaczona jest do wiekuistego trwania i ustawicznego rozwoju. Katolicyzm wytyczył też granicę władzy państwa nad człowiekiem. Nauczał o miłości jako najwyższym przykazaniu. Przez ten pogląd na człowieka wskazał współczesnemu człowiekowi, że nie jest tylko łopata, kilofem, narzędziem produkcji, pędzlem czy piórem, płytą gramofonową, ale ma prawa dziecka Bożego. Ma prawo do prawdy, wolności, sprawiedliwości i poszanowania. Tyle i dużo więcej jeszcze ...

Ale nieubłagane minuty przemijają i ja muszę kończyć. Tylko jeszcze jedno: serdeczne ślę pozdrowienia wszystkim dotychczasowym moim słuchaczom, a w szczególności kochanej Łodzi.

Rzym, 19 listopada 1965 r.

CZYM JEST KULTURA?

Dziś zajmę się sprawą, czym jest kultura w swej istocie.

Najbardziej spokrewnioną z pojęciem kultury jest cywilizacja. Zestawiając te dwa pojęcia, najczęściej mniema się, że cywilizacja ogarnia sobą ogół zdobyczy materialnych osiągniętych przez ludzkość w jej rozwoju dziejowym. Kultura zaś ogarnia podobny dorobek w dziedzinie duchowej.

Należy podkreślić jeszcze inny moment, który pozwala rozróżnić cywilizację od kultury. Cywilizacja z natury swej jest międzynarodowa, np. cywilizacja europejska czy amerykańska rozszerza się na całym globie. I w ten sposób życie upodabnia się na ziemi. Ale tylko pozornie. Przecież z postępem cywilizacji wypuklają się rozwijające się kultury narodowe. Nigdy właściwości i odrębności ras i narodów nie przemówiły tak głośno jak w naszych czasach. Pod cienkim naskórkiem cywilizacyjnym, niwelującym zdawałoby się różnice między narodami, nastąpił wybuch uczuć, które obudziły w najmniejszych nawet narodach przywiązanie do tego, co było i jest własne. Nawet międzynarodowy socjalizm czy komunizm uwzględnić musi ten fakt i staje się socjalizmem polskim, niemieckim, francuskim itd.

Jednak wnikając głębiej w to zagadnienie, uważam takie rozgraniczenie za nieścisle. Zarówno bowiem w wytworach cywilizacji współdziała duch, jak i w kulturze duchowej mieszczą się pewne wartości materialne. Postęp np. techniki jest uwarunkowany postępem duchowym człowieka, tak jak duch bogaci się przez zdobycze cywilizacyjne.

Tyle o cywilizacji i kulturze i o ich różnicy i wzajemnym przenikaniu się.

A teraz coś powiemy o tak rozumianej kulturze. Przede wszystkim stykamy się w niej z jedną z podstawowych spraw życia ludzkiego. Nawet nie rozumiejąc wielkości zjawiska w pełni, nawet wypaczając je karykaturalnie, chwalcą ją czy ją nienawidzący, przez swój gwałtowny stosunek uczuciowy, wykazują, jakim ważnym jest ona zagadnieniem.

Przecież nie trzeba być meteorologiem, by dostrzec siłę wiatru. Nie trzeba być chemikiem, by zauważyć wielkie znaczenie wody. Oddychamy i jesteśmy zanurzeni w oceanie powietrza, tak jak całe życie ulegamy naciskowi kultury. Czy chcemy czy nie chcemy. Rozkwitamy w niej lub też giniemy, jeśli zawarte są w niej zatrute wyziewy. Obrazowe wyrażenie w rodzaju: „umarli rządzą nami”, wypowiada oczywistą prawdę kultury w sposób przenośny. Podobnie wyraża to

myśl, że człowiek wyssał kulturę z mlekiem matki. Innymi słowy: człowiek jest zarówno wytworem kultury, jak i jej twórcą.

Człowiek zdobywa pewne zasady, którym podporządkowuje swoje czynności. Dają one pewną wizję świata, a działanie dąży do urzeczywistnienia tej wizji nie zawsze we właściwy sposób. Możemy zaryzykować twierdzenie, że nie ma ludzkości bez kultury choćby najprymitywniejszej, tak jak nie ma społeczeństwa bez wizji świata. Są społeczeństwa o nikłej kulturze intelektualnej, lecz wysoko moralnej. Są także społeczeństwa o błyskotliwej kulturze intelektualnej, stanowiące typowe obrazy zwyrodnienia moralnego.

Jednym słowem: kultura jest jednym z najelementarniejszych czynników życia. Na niej opiera się cywilizacja i prawa – nie odwrotnie. Lekceważenie jej jest wyrazem bezmyślności. Dlatego sięgając głębiej w to bardzo złożone zjawisko, możemy pojęcie kultury ująć w sposób następujący.

Przede wszystkim, aby zrozumieć dobrze czym naprawdę jest kultura, musimy choćby w sposób najogólniejszy przedsięwziąć analizę istoty ludzkiej. Jest znane powiedzenie, że człowiek jest istotą bardzo skomplikowaną i w dużej mierze nie poznaną. Ale i w pewnej mierze znamy ten dziwny i ciekawy stwór Boski. A więc odkrywamy w nim jakby trzy sfery wiążące się ze sobą, ale i nietrudne do rozeznania.

Pierwszą będzie s f e r a i n s t y n k t ó w czysto biologicznych, upadabiających człowieka tak w dobrym, jak i złym znaczeniu do zwierzęcia. Jest to sfera ogromnie ważna, choć nieświadoma chyba działalności. Rozróżniamy w niej dwie podsferę: czysto w e g e t a t y w n ą oraz a n i m a l n ą (zwierzęcą). Zasadniczą cechą obydwu jest brak świadomości, pomimo że działania ich są celowe.

Najważniejszą sferą w człowieku jest świadomość. Objawia się ona najniższym stopniu w rozsądku, czyli w umiejętności dostosowania się świadomego do bieżących potrzeb życia.

Wyższe jednak życie psychiczne objawia się w rozumie. On jest cechą i drugą i trzecią najwyższej sfery przeżyć ludzkich. W sferze drugiej rozum ma zabarwienie czysto praktyczne. Nie chodzi mu czym są rzeczy, czy dobre lub piękne, ale interesuje go jak się praktycznie urządzić, by być zadowolonym, ba nawet szczęśliwym. Jest to sfera interesowności, sfera praktyczności. Należą do niej technika, konkretne prawo publiczne i prywatne, polityka, administracja, struktury społeczne. Jest to przede wszystkim sfera cywilizacji, udogodnień i ułatwień życiowych.

Istnieje wreszcie trzecia sfera. Sfera niepraktyczności, co nie oznacza oczywiście, że nie ma ona praktycznych skutków, lecz tylko że nie wywodzi się ona z praktycznych zamiarów i trosk o bezpośrednią korzyść. Chodzi więc w niej o poznanie obiektywne bez względu na jego użyteczność. Chodzi o działanie, gdy wkraczamy w dziedzinę woli – obiektywnie dobre. Chodzi wreszcie o piękno istotne, nie o zamaskowaną propagandę lub przyjemne łechtanie nerwów.

Oczywiście, w praktyce wyniki osiągnięte w trzeciej sferze okażą się zawsze praktyczne, choć nie zawsze bezpośrednio. W każdym razie intencja musi być tutaj bezinteresowna.

Wytwory tej sfery nazywamy właśnie kulturą. Jest ona wyższa od cywilizacji, która bez niej martwieje, stając się zwykłą krzątaniną praktyczną pozbawioną wszelkiego głębszego sensu i znaczenia. Do kultury będą więc należały: sztuka, nauki ścisłe, filozofia, a głównie religia z jej istotnym momentem – moralnością.

Kultura musi być wynikiem czystych intencji i bezinteresowna. Nie znaczy, że ma być nieomylna. Omyłki jej – co jest zwykłym znamieniem człowieka – są omyłkami, a nie kłamstwem i oszustwem.

Kultura więc i moralność z sobą są ściśle związane. Dlatego możemy mówić o prawdziwej i głębokiej kulturze nawet ludzi prostych, których nieraz cechuje wysoka bezinteresowność poznawcza, moralna i artystyczna. Możemy także mówić o braku kultury ludzi głęboko wykształconych, jeśli im brak bezinteresowności, a wiadomości swoje wyzyskują w sposób interesowny, praktyczny, nieszczerzy, a często i kłamliwy. Bywają nawet rozumni bandyci, wykształceni erudyci i wyrafinowani a zbrodniczy. Czyli rozum, erudycja, wykuint, wyrafinowanie stanowią uboczne cechy kultury; podczas gdy prawdziwa kultura jest wyrazem ducha. Prawami zaś ducha, a tym samym kultury jest życie w prawdzie, dobru i pięknie.

Jej braku nie można zastąpić cywilizacją i pozorami. Nie znaczy to, że cywilizacja jest złem, tak samo, jak dobrem jest wygimnastykowany umysł, ale są to aspekty uboczne, które dopiero kultura podnosi do godności służenia człowiekowi ku jego rzetelnemu rozwojowi i postępowi. Właśnie to widowisko ducha szamoczącego się z przedmiotowymi, bezinteresownymi i bezstronnymi zagadnieniami jest widokiem najbardziej wstrząsającym i majestatycznym.

Nie chodzi tutaj jedynie o umiejętne urządzenie się na świecie, o grę intelektualną czy rozrywkę wreszcie, choć są godne starań człowieka, lecz o podjęcie z całą powagą duchowego życia w najistotniejszym tego słowa znaczeniu. Niestety, kultura i cywilizacja naszych czasów przypominają mi wariata, który pociął na kawałki stos starych gazet, na każdym z nich napisał: „milion dolarów”, schował wszystko do portfela i powiedział z wielką pewnością siebie: jestem bogaty! ...

Dlatego Kościół, w szczególności na obecnym Soborze, pragnie, wczuwając się pilnie w potrzeby człowieka, podnieść go do rangi pełnego człowieczeństwa. Pragnie wykazać, że w religii Chrystusowej znajdzie on zaspokojenie potrzeb ducha, który znów ze swej strony, podniesiony wyżej i rozumiany głębiej, da ludzkości zrozumienie głębsze życia i jego zasadniczych praw.

Rzym, 12 grudnia 1965 r.

PARADOKSY ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

Ktoś powiedział – i słusznie – że świat w dużej mierze jest pod władaniem absurdu. A inny dodał, że samoubóstwienie, do którego człowiek nieraz dochodzi, jest największym błędem współczesności.

Jako przeciwstawienie tym twierdzeniom, wysuwa się fakt wielkiego postępu, w szczególności w naukach przyrodniczych i technice, w rozwoju materialnym świata i w wysokiej umiejętności organizacji społecznej. Wiara w automatyzm tego rozwoju, zaufanie do dogmatu materii i liczby jest coraz większe. Planowanie zaś w skali państw i świata uważane jest za ogromny postęp w kierowaniu wielkimi masami ludzkimi i olbrzymimi zasobami materialnymi.

Każdy z tych poglądów ma swoich wybitnych przedstawicieli. Cały arsenał argumentów staje do ich dyspozycji.

Kościół, który nie tylko się włącza w dzieje świata i z nim współpracuje, ale ma w świetle rozumu, doświadczenia i Objawienia poddawać ocenie zasady i teorie odnoszące się do życia ziemskiego, a nieraz niedostrzegające, ba nawet zwalczające tezy i twierdzenia o całości bytu, ma w rzeczywistości ziemskiej taki arsenał argumentów, że ma obowiązek dla dobra powszechnego wykorzystanie ich.

Pierwszym zadaniem Kościoła jest podawanie rzetelnej prawdy o człowieku: będąc tworem Bożym na Jego obraz i podobieństwo ukształtowanym, otrzymał we władanie ziemię, a w poznawanie kosmos, że ma on coraz więcej ubogacać swój rozum i wykorzystywać skarby świata, nie jest on stworzony tylko na krótki bieg w stadionie doczesności, ale na wieczność całą.

Rzetelny zaś postęp człowieka, skażonego przez grzech pierworodny jest uzależniony od przejścia się moralnością opartą na racjonalnych i nadprzyrodzonych przesłankach.

Kościół nie pomija nigdy tragizmu człowieka, uwikłanego w błąd i zło. Pokaże go w świetle chociażby dwu ostatnich wojen światowych. Człowiek upadł wówczas tak nisko, że zaczął się wstydić, że jest człowiekiem, że po prostu został zaskoczony tym swoim upadkiem. – Do czego doszliśmy i do czego jeszcze dojdziemy – pyta się każdy z nas. W tym pytaniu zawiera się właściwie cała nasza epoka, cały ogrom tragizmu naszych czasów. Ci nawet, którzy nie potrafią myśleć, czują, że stało się coś dziwnego, niezrozumiałego i potwornego. Odczuwa się to, co odczuwałby więzień, któremu obiecano wolność, a którego sprowadza się do coraz niższych i ciemniejszych cel: gorycz rozczarowania, zdziwienie, strach i w końcu tępą rezygnację.

Dać ludziom – w komunikatywny sposób – zrozumienie, że wiek nasz, ucząc myślenia, którego podstawą był sceptycyzm wobec wszystkiego jako uosobienie wyzwolenia, zakuł umysł w kajdany nieraz fałszywych dogmatów lub tzw. „prawd niezaprzeczalnych”. Fałszywy dogmat nie wytrzyma natarcia rozumu, trzeba tylko okazać mu poglądowo, że oparł się on na zasadach niepotwierdzonych doświadczeniem życiowym i stąd uwikłał się we własne nastawione na siebie sieci.

Innymi słowy: człowiek ta trzcina chwiejąca się na wietrze – że użyjemy pojęcia Pascala – nie podparta moralnością łatwo się załamuje i stacza na samo dno nieszczęścia, które zgotował sam sobie i innym.

Człowiekowi dzisiejszemu należy też tłumaczyć na czym polega rzetelny postęp, bo tak łatwo ulega fascynacji błyskotliwych słów.

P o s t ę p . Kiedy się czyta dzieła Marksa ma się wrażenie, że cała jego doktryna opiera się na założonej z góry wierze w postęp. Ta wiara tak właściwa dziewiętnastemu wiekowi odróżniała go od cywilizacji tzw. prymitywnych starożytności i średniowiecza. Wówczas bowiem rozpowszechniony był mit złotego wieku, który minął niepowrotnie. Wiara w Postęp przez duże P. Do tej wiary skłaniał przede wszystkim postęp nauk przyrodniczych i techniki.

Tymczasem wiemy już teraz, że postęp, np. techniczny, ma wartość względną. Rozwój środków komunikacji od czółna do odrzutowca można jeszcze było uważać za dobro bezwzględne. Rozwój produkcji od kołowrotka do koncernu tkalni już budzi różne oceny. Rozwój broni od procy i kuszy do bomby atomowej nikogo nie może napawać optymizmem. Rozpowszechnienie oświaty, z którym tyle wiązano nadziei rozczerowało nawet takich intelektualistów jak Toynbee czy Huxley. Czy człowiek, który dwa razy dziennie czyta brukową gazetę jest istotnie mądrzejszy od chłopca nie umiejącego czytać, ale umiejącego samodzielnie wnioskować? Z drugiej strony, są dokonania, które uznajemy wszyscy za postęp. Na przykład przejście z systemu wsi niewolnej na gospodarkę czynszową i samorząd wiejski wydaje się nam postępem, ale zmiana czynszu na pańszczyznę, czy też tworzenie kołchozów było wielkim krokiem wstecz. Zwiększenie wolności społecznej w formie choćby kapitalizmu stało się przyczyną wielu nieszczęść. Zwiększenie swobody seksualnej staje się groźne dla rodziny i społeczeństwa. To samo można by powiedzieć na temat tzw. sprawiedliwości społecznej dobrobytu, ogólnej kultury. Prócz niezaprzeczalnych plusów ileż w nich braków. Słynna satyra George'a Orwella: *Rok 1984* daje ponury obraz odczłowieczenia człowieka, odurzonego haszyszem postępu. Dlatego wcale nie dewocyjny pisarz, jakim jest Aldous Huxley, w *Ends and Means* mówi przez usta bohatera dra R. R. Marreta: „Prawdziwym postępem jest postęp w miłosierdziu (charity), wszelkie inne postępy są względem niego drugorzędne. Najwyższa norma postępowania »miłość« tkwiąca nie tylko w uczuciu, ale rozumie i woli – miłość – miłosierdzie – caritas”.

Poza tym dzisiejszy człowiek zaufał wielce formom, organizacji, schematom i systemom. Weźmy dla przykładu, totalizmy współczesne, które traktują człowieka jak kółko maszyny, jak mierzwę pod swoje wyimaginowane idee czy ideały.

Obserwujemy więc ogromny przerost formalistyki, przepisów prawnych, których nie zdolne jest wykonać ani jednostka, ani państwo. Cierpi zaś przede wszystkim jednostka zagubiona w dżungli nakazów i zakazów, cierpi też rzetelny postęp materialny i duchowy. Planowanie w gospodarce jest wprawdzie wskazane, ale jako nadzór ogólny, gdy przekroczy te granice, staje się absurdem.

Kościół, który pragnie sam się uwolnić od skrajnej centralizacji, od jurydycznego jedynie traktowania ludzi, od służebności do rządzenia, a nie odwrotnie, ma

dla tej sprawy i serce i rozumienie. Winien on światu ukazać tę prawdę, że troską wszelkiej władzy ma być dobro jednostki, a przez nią i społeczeństw i ludzkości, że człowiek to właśnie jest punkt wyjścia i dojścia wszelkich urządzeń, praw i konstytucji. A jest to nakaz samej Ewangelii, która tylekroć razy podkreślała niwelację panów i sług, na rzecz bliźniego, tak bardzo zaznacza, że prawo jest dla człowieka, a nie człowiek dla prawa, że przepisy zbyt krępujące są niewolą, a nie przez Boga udzieloną człowiekowi wolnością, że uzdrowienie w szabat naruszało wprowadzić literę prawa, ale za to było dobrodziejstwem dla człowieka.

Tu właśnie leży ogromne pole do zadziałania Kościoła.

Rzym, 1965 r. (w maszynopisie brak dokładnej daty)

DIALOG MIĘDZY WIERZĄCYMI I NIEWIERZĄCYMI

Ojciec Święty Paweł VI w swej encyklice *Ecclesiam suam*, w trzeciej jej części omawia zagadnienie dialogu, wyróżnia jego cztery koła koncentryczne: dialog między katolikami; dialog katolików z chrześcijanami – niekatolikami; następnie – z ludźmi wyznającymi religie niechrześcijańskie, i – ostatni czwarty krąg – ze wszystkimi ludźmi dobrej woli! W tym ostatnim kole koncentrycznym znajdują się również pewne ośrodki i grupy ludzi niewierzących. Do niedawna dialog z ludźmi niewierzącymi był uważany za podejrzany, czy nawet nie do przyjęcia. Ojciec Święty zrehabilitował to słowo i nawet „ukościelnił” go i wprowadził do oficjalnego słownika teologicznego. Paweł VI rozwinął tylko myśli, które zostały poruszone przez jego Poprzednika Jana XXIII w obydwu encyklikach: *Mater et Magistra* i *Pacem in terris*.

Zasadniczą racją teologiczną takiego stanowiska był nakaz Chrystusowy: „Idąc nauczajcie wszystkie narody”. Konstytucja *De Ecclesia* uchwalona przez obecny Sobór w II rozdziale *De populo Dei* śmiało wykazuje na postulat Chrystusowy o uniwersalizmie Jego Kościoła. Kонтрreformacyjna definicja Bellarmina została rozszerzona i pogłębiona przez encyklikę Piusa XII *Mystici Corporis* i przez obecną Konstytucję *De Ecclesia*. Do Kościoła – w myśl tej zasady – należą „zarówno wierni katolicy, jak i inni wierzący w Chrystusa, jak wreszcie wszyscy w ogóle ludzie, z łaski Bożej powołani do zbawienia”. Otóż Ojciec Święty Paweł VI zwrócił uwagę na bardzo ważny moment dialogu, że może on być celowy i skuteczny tylko z ludźmi „dobrej woli”. Ale tu należy zadać sobie pytanie: kto jest człowiekiem „dobrej woli”?

W historii Kościoła odnajdujemy podówczas powszechnie przyjmowaną opinię, że innowierstwo, a tym bardziej niewiara, jest koniecznym wynikiem złej woli człowieka. Nie zdawano sobie wówczas dokładniej sprawy z tego, że w kształtowaniu się aktu wiary biorą udział różne czynniki: tzn. środowisko społeczne, emocje i inne imponderabilia. A przede wszystkim nie została rozwinięta teoria o psychologii aktu wiary. Stąd dziś, biorąc powyższe uwarunkowania aktu wiary, zmieniliśmy w dużej mierze pogląd na człowieka „złej i dobrej woli”.

Nie rozwodząc się dłużej nad tym arcyważnym zagadnieniem, możemy zaryzkować podanie warunków, które upoważniają nas do zakwalifikowania naszego partnera dialogu jako człowieka dobrej woli: autentyczne zaangażowanie ideowe, czyli postawa służby pewnym duchowym wartościom pozaegoistycznym oraz kierowanie się w swym postępowaniu głosem sumienia.

Wykluczamy więc z szeregu możliwych partnerów dialogu ludzi, którzy są nielojalni wobec tego co sami „wewnętrznie” za prawdę uważają i którzy – co gorsza – tak poznana prawdę zwalczają czy to wskutek nienawiści do pewnych osób lub instytucji, czy w imię motywów utylitarnych i konformizmu. Zdaje się, że takich ludzi jest w świecie dzisiejszym dość dużo, choć proporcjonalnie stanowią oni znikomą mniejszość.

Wśród ludzi dobrej woli jest znaczny odsetek ateistów, z którymi dialog może być dla obydwu stron bardzo pożyteczny. Zważmy bowiem przyczyny, które wpływają na negację Boga i porządku nadprzyrodzonego.

Materia, a głównie materializm praktyczny, tak pociąga wielu, że nastawia ich życie j e d y n i e na doczesność. Po prostu w dyskusji z nimi możemy stwierdzić, że teoretyczne podstawy ich ateizmu mało ich obchodzą. „Nie potrzebujemy do urządzenia sobie życia hipotezy Boga”. Przeciwnie, zastanawianie się nad pozaziemskimi naszymi celami i liczenie się z nakazami religii stanowiłyby przeszkodę w osiągnięciu bezpośrednich i człowiekowi najbliższych celów na tej ziemi. Tym poglądom sprzyja również rozwój nauk przyrodniczych i rozwój techniki. One to uświadamiają człowiekowi jak wielki jest jego umysł, jakie bogactwa kryje kosmos, których rozum jest odkrywcą, a człowiek użytkownikiem. Co więcej, rodzi się przeświadczenie, że wszystko jest osiągalne, że człowiek właściwie jest twórcą, a nawet stwórcą w pewnym znaczeniu. Prowadzi to do pewnego rodzaju deifikacji człowieka. Ale z tym błędem, który właśnie odkrywają nauki przyrodnicze, już dziś nie trzeba się zbytnio liczyć. Bo doświadczył na sobie człowiek, że ani jest wszechmocny ani wszechwiedzący, lecz jest tylko odkrywcą praw ustanowionych przez Kogo Innego, a przy tym zaznał gorzkiej prawdy doświadczeń okrucieństwa ludzkiego zaczyna coraz lepiej pojmować wartość życia moralnego dla postępu ludzkości.

Jeszcze jeden współczynnik ateizmu odgrywa ważką rolę, a mianowicie dość gwałtowne zanikanie dotychczasowych treści oraz form kulturowych i cywilizacyjnych. Dlatego formacja religijna oparta na dotychczasowej tradycji ulega zachwianiu. Ale tylko zachwianiu. Bo i w epoce technizacji jeszcze bardziej zatęskni ludzkość do tych wartości, jakie zawiera w sobie religia. Widać to już teraz na najbardziej rozwiniętych cywilizacyjnie krajach Europy i Ameryki.

Niedawno np. Badania Instytutu Gallupa stwierdziły, że 93% mieszkańców USA przyznaje się do wierzeń religijnych.

Ateizm praktyczny, tak właściwy materializmowi, czy tzw. ateizm polityczny, właściwy głównie prądom totalistycznym, również napotyka na swej drodze doświadczenia wielce ujemne i przekształcają powoli psychikę nawet „wierzących ateistów” w kierunku krytycznym do swoich założeń. Dlatego dialog ze

współczesnym ateizmem ma swoje racje i może przyczynić się do głębszego jeszcze kształtowania myśli religijnej.

Nic więc dziwnego, że obecny Papież, uwzględniając potrzeby dnia dzisiejszego, utworzył Sekretariat dla Niewierzących, a dyskusje czy to we Francji, czy jak ostatnio w Austrii między katolikami i ateistami nie są pozbawione realnej podstawy. Kościół w świecie dzisiejszym ma wiele do powiedzenia i zrobienia.

Ojciec Święty mógł więc napisać: „Przyczyny ateizmu przepełnione niepokojem, zabarwione namiętnością i utopią, są jednak często szlachetne, natchnione marzeniem o sprawiedliwości i postępie [...]. Pozycje ateizmu powołują się ze szczerem nieraz entuzjazmem na rygorystyczne poddanie rozumnym wymaganiom umysłu ludzkiego w jego wysiłku naukowego wytłumaczenia wszechświata [...]. Widzimy także nieraz ateistów powodowanych szlachetnymi uczuciami, obrzydzeniem do nieszczerości i egoizmu tylu współczesnych środowisk społecznych, którzy trafnie zapożyczają z naszej Ewangelii formy i język solidarności ludzkiej i ludzkiego współczucia”.

Rzym, (w maszynopisie brak daty)

DOBROĆ – WIELKĄ POTRZEBĄ NASZYCH CZASÓW

Starsze pokolenie przeżywało czasy – mówiąc bez retuszu – okrutne. Dwie wojny światowe, a w szczególności druga były eksperymentem aż nadto dotkliwym i poniżającym. Człowiek stał się dla człowieka wilkiem drapieżnym, zapanało prawo dżungli. O jednego z nas za dużo – zdawał się mówić człowiek do człowieka – usuń się, a ja zajmę twoje miejsce. Prawie 40 milionów poległych w ostatniej rozprawie ludzkości, drugie tyle rannych, zamęczonych w obozach koncentracyjnych w liczbie astronomicznej – niepodobnej do odcyfrowania: to coś około 150 milionów... A inne ofiary?! Po prostu rzeźnia ludzkiego pogłowia. I o co? O lepsze koryto, o ambicje rządzących, o pseudowyższość rasową, o fikcje ustrojowe. A po wojnie? Słyszysz się takie głosy zdawałoby się niepojętne, a jednak o treści huraganowej czy trzęsienia ziemi: „Choćbyśmy w szerzeniu rewolucji my, Chińczycy, stracili 300 milionów ludzi, to reszta 400 czy 500 milionów będą panami świata...”

Na tym tle dopiero odczuwamy wielkie tęsknoty ludzkości do pokoju, do pojednania do uciszenia rozkiełzanych namiętności, do usunięcia niegodnej kapitalizacji rozumu i rozsądku. Świat, że się tak wyrazimy biblijnie, tęskni niewymowną tęsknotą. Budzą się nowe nadzieje na urządzenie życia po człowieczemu. Odzywa się też tęsknota za Bogiem jako ożywczym źródłem wszelkiej nadziei i podstawą przynajmniej względnego szczęścia na ziemi. Coraz to głębiej rozumiemy i czujemy, że ten styl życia, jaki obrany został przez utopistów i zwyrodniałców nie może zapewnić ludzkości spokoju, dobrobytu i postępu. Czasem, gdy do niektórych ludzi mówimy o świecie wyższym, nadprzyrodzonym śmieją się i drwią tak samo, jak te zwierzęta z bajki, które szydziły z człowieka, że na dwóch,

zamiast wygodnie na czterech, chodzi nogach. A jednak wierzymy, że ten szal jest przejściowy i że miliony serc tęskniących zapanują nad chaosem uczuć i myśli. Zateśknimy, bo na naszych grobowcach bez blagi można było umieścić napis jak ongiś umarłemu egipcjaninowi: „nie wycisnąłem niczych łez”.

A więc dobroć nie ta sentymentalna jedynie, ale dobroć oparta na przeświadczeniu tej potrzeby i pragnieniu zrealizowania jej poprzez naszą wolę.

Wiemy dobrze, że słowa i czyny źródło swoje mają w myślach. W świecie też myśli spotykamy się albo z Bogiem, albo z szatanem. Tu właśnie odbywa się nasz rachunek sumienia, któremu obca jest hipokryzja czy pycha. Kto liczy się ze swoimi myślami, mądrze osądza ludzi, bo wie jak trudne są i zawikłane ścieżki naszych myśli.

Nie wynika jednak z tego, żeby ulegać złudzeniom i być ślepym na zło. Ale też prawdą jest – jak to wykazuje życiowe doświadczenie, że dobre opinie o ludziach były bliższe prawdy, aniżeli nasze sądy ujemne. Z drugiej strony sami stajemy się lepsi, oceniając innych dobrze i wpływamy nieraz na ich poprawę.

Dobroć przejawić możemy również w naszych słowach. Słowo to wielka potęga: może ono ranić śmiertelnie, ma też nieraz siłę twórczą. Dlatego tak Bóg w swoim ósmym przykazaniu podkreślił zło fałszywych ocen o ludziach.

Czyny dobre są również tym węzłem, co na wieki spaja serca ludzkie. A może nawet mniej czyny same, aniżeli sposób oddawania usług.

Myśli, słowa i czyny dobre – oto objawy dobroci. Skutki dobroci są tak wielkie, że świat zaraz poczułby się lepiej, gdyby ludzie zrozumieli i wprowadzili w czyn te proste i jasne nakazy. Bo dobroć wniosłaby wszędzie radość, uczyniłaby życie bardziej pociągające a przynajmniej znośniejsze. Iluż to przy tym ludzi pod wpływem dobroci zmieniło swój nawet zły charakter! Jeden z autorów, który sam był więźniem na Syberii (Dostojewski) podkreślił doniosłość roli komendantów owych kazamat: źli zwierzchnicy jeszcze bardziej rozbastwiali i tak już zdeprawowanych katowników, natomiast szlachetniejsi budzili w duszach więźniów lepsze uczucia.

I my doświadczamy wpływu dobrych ludzkich serc. Wystarczy nieraz sam ton głosu, jedno pocziwe spojrzenie, aby człowiekowi, znękanemu życiem, wrócić otuchę. Pod takim słonecznym spojrzeniem narastają w ludziach nowe siły i budzi się zalekła odwaga. Obserwujemy też odwrotność tego zjawiska: że ludzie, którzy nie zaznali dobroci, stawali się coraz to gorszymi.

Jeszcze na jeden moment pragnę zwrócić uwagę: że ludziom ich własne dobro daje bardzo wiele pomaga do wyzbywania się egoizmu, budzenia pokory, bo człowiek pyszny rzadko bywa dobry. Pozbawia nas szorstkości i ostrości, wysubtelniając w nas myśli, słowa i uczynki. Wszelkie też poświęcenie, ofiarność, a nawet bohaterstwo ma swe źródło w dobroci, tak ściśle zespolonej z miłością, jak snop promieni ze słońcem, skąd wychodzi.

Nic dziwnego przecież to Bóg, Który jest – według genialnego skrótu Janowego – MIŁOŚCIĄ, stworzył ludzkie serce i dobroć. Często też Prawo Boże podkreśla ten atrybut woli i serca człowieczego, wskazując jego wagę i źródło:

„Duch mądrości jest dobrotliwy” (Mdr 1, 6). „W mądrości jest duch rozumienia słodki i miłujący dobro, dobrze czyniący” (Mdr 7, 22). „Owoc ducha jest: miłość, dobroć i dobrotliwość” (Gal 5, 22) itd. itp.

Ucieleśnieniem miłości i zarazem symbolem jest Maria Dziewica i Matka zarazem.

M a t k a ... „Państwo może wychować dziecko”. „Rodzina nie jest czynnikiem koniecznym w wychowaniu” – itd. itp. Jakiż fałsz! To zimno, ten chłód bijące coraz bardziej od ludzi, to zdrewnienie, to wynik obumierania ciepłoty, miłości i miękkości. Ludzie bez matek i ojców, ludzie, jak cięte kwiaty. A miłość matczyzna właśnie w miłości Matki Najświętszej ustawicznie się rozpręża i kształtuje.

W obliczu Rodziny Przenajświętszej odnawia się dobroć człowiecza.

„Może się zjawi – pisze jeden z niewierzących pisarzy (A. Niemojewski) – człowiek o tak subtelnej psychologii i tak wielkim sercu, który to wytłumaczy współczesnym racjonalistom [i dzisiejszemu – dodajmy – laicyzmowi], nie umiającym się już orientować należycie w psychologii wojen krzyżowych, w misteriach średniowiecza i w jego mistyce. Rycerz, obrońca Dzieciątka Bożego, człowiek wrogi i wbijający na pal swych wrogów, tajał pod wpływem tej idei, padał na kolana, kajał się i z wolna innym stawał się człowiekiem. Ideał – pisze dalej tenże publicysta – Dziewicy Niepokalanej wychował dziewictwo na ziemi i wzbudził szacunek dla niego. Dziewiczość i macierzyństwo w złączeniu wytworzyło pojęcie świętości matki. Kto wyszedł z pocziwego domu i poniesiony burzami losów zabłądził gdzieś na koniec świata, ilekroć wspomina swe dzieciństwo, matkę, siostry, zawsze je widzi oczyma duszy, opromienione jakimś anielstwem”. (A. Niemojewski, *Etyka Talmudu*, Warszawa, 1918, s. 49–50).

Te myśli nasuwają się nam, kiedy rozpatrujemy ludzką dobroć zakotwiczoną, bo inaczej wędnie, w miłości i dobroci Bożej. Tylko Bóg przeciwstawić może swój uniwersalizm naszemu radykalizmowi, swoją wszechmoc naszej trwożnej lękliwości, pokorę próżności, miłosierdzie sądowi, a sąd miłosierdziu, że tylko On, tylko Bóg przynosi nam wielkoduszość z wiary, zamiast hałaśliwego pseudo postępu cichy, milczący krzyż...

Rzym, (w maszynopisie brak daty)

GLÓD I WOJNY GROŻĄ ŚWIATU

Wszystkie narody i ich rządy mówią coraz częściej o pokoju, gdyż brak go na poszczególnych kontynentach i to od zakończenia drugiej wojny światowej. A przy tym lęk przed trzecią wojną, może najgroźniejszą. Ludzie wyobrażają sobie, że wystarczy potępiać wojnę i szerzyć hasła pokojowe, a już nastąpi złoty wiek na świecie i narody będą nastawione na rozwój własnych miast i wsi w koegzystencji z innymi. Tymczasem obecnie prócz wielosłowania o pokoju i odrzuceniu wojny trzeba sięgnąć głębiej do duszy człowieka i do urządzeń społeczno-gospo-

darczych na globie ziemskim. A właśnie w tej duszy nie ma pokoju, tam właśnie należy szukać rozdźwięków między ludźmi i narodami. Egoizm, chciwość, wynaturzenie instynktów moralnych, lęk jedynie przed siłą fizyczną, a lekceważenie odpowiedzialności przed sumieniem, brakiem odpowiedzialności przed Bogiem – oto motywy współczesnego *homo sapiens*. Obydwie wojny światowe wieku XX wykazały taki ogrom zepsucia i pustki duchowej, tak zostały pogwałcone wszystkie prawa ludzkie i boskie, że kompletnie stępsiał człowiek uczuciowo i zlekceważył wszystko, co nie daje bezpośredniej korzyści... I ten stan rzeczy trwa dalej. Mężowie stanu, politycy, pisarze i publicyści wysilają się, aby słowom: „prawda”, „sprawiedliwość”, „prawo”, „solidarność”, a przede wszystkim „miłość” nic nie odpowiadało, by przeciwnie, pojęcia te były tylko karmą dla naiwnych i nie orientujących się w faktycznym stanie rzeczy.

Stosunki ekonomiczne na świecie nie przedstawiają się zbyt różowo. Zewsząd dochodzą alarmy, że dwie trzecie ludzkości po prostu głoduje, w ten sposób wyniszczając organizm i przyspieszając swoją śmierć. Zaledwie jedna trzecia żyje we względnych warunkach materialnych, a w dobrych niewielki procent.

Świat jednak dzisiaj podlega prawu fizycznemu naczyń połączonych. Na skutek środków komunikacyjnych, czy to w sferze myśli, jak radio, telewizja, czy też w możliwościach szybkiego przenoszenia z miejsca na miejsce, stany zapalne w jednym punkcie globu mogą zakazić cały organizm społeczny. Stąd nie tylko imperatyw rozumu, ale i instynkt samozachowawczy alarmują wszystkich i każdego z osobna.

Do tych uwag, wiele nie przesadzonych, dodać należy fakt, że jedna trzecia ludzkości przebywała lub jeszcze znajduje się w obozach koncentracyjnych.

Świat dzisiejszy mógłby z największym lękiem i pesymizmem patrzeć w przyszłość. Ale są pewne symptomy, które wskazują, że ludzkość może być nie tylko uratowana od głodu i zguby, ale też może uczynić taki zwrot ku wszechstronnemu postępowi, który zapewni wielką odmianę jej losu. Nie ma bowiem nic zdeterminowanego w działaniu człowieka. Od jego rozumu i wolnej woli zależy tak wiele! A przy tym włączając – tak dotychczas nieraz odrzucanego przez głupotę ludzką – Boga w bieg historii, możemy z uzasadnioną nadzieją spojrzeć w przyszłość. I tu rola Kościoła staje się wprost nieograniczona. I od Kościoła ludzkość spodziewa się ratunku.

Ukazać więc drogi rozwoju w kierunku bytowania dzieci Bożych, jest ogromnym zadaniem „mistycznego ciała Chrystusowego” i jego wkładem w dobro ziemskie.

Nauka Chrystusa zawarta w Ewangelii i od dwu tysięcy lat głoszona człowiekowi zawiera taki potencjał prawdy życiowej i dobra, że uprzystępnienie jej w sensie najbardziej komunikatywnym zdoła zatrzymać maratoński bieg ludzkości ku przepaści...

Kościół ustawia tę sprawę w płaszczyźnie najbardziej realnej, bo sam chce żyć w słońcu Prawdy, Dobra, Piękna Chrystusowego i tym życiem „zarazić” wszystkich.

Misyjna jego rola, by nieść światło Ewangelii do wszystkich ludzi, do wszyst-

kich narodów, zapala się obecnie jeszcze potężniej, gdyż Kościół wyczuwa i wie, że pod tym względem jego posłannictwo będzie zbawieniem świata. Naturalnie Kościół zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma podstaw do optymizmu, biorąc pod uwagę złe skłonności natury ludzkiej. Wie o tym, że od samego zarania ludzkości były na świecie wojny jedne krwawsze od drugih. Wie też, że i obecnie nasilenie nienawiści i samolubstwa grozi tragicznymi konsekwencjami. Tylko wzmożony wysiłek jednostek, społeczeństw i państw może zapobiec – i to w sensie hipotezy – samobójstwu świata, jakim byłaby wojna nuklearna.

Taką wojnę Kościół uważa za największą katastrofę na ziemi i dlatego zwraca się i zwracać będzie do wszystkich rządów na kuli ziemskiej, by nie dały się sprowokować przez ludzi niepoczytalnych do zniszczenia naszej cywilizacji i kultury, do uśmiercenia ludzkości.

Szerzenie pokoju w pojedynczych duszach ludzkich za pomocą słowa i zbawczych uświęcających środków, jakie mu pozostawił jego Założyciel jedynie mają moc.

Głęboki szacunek i miłość do człowieka, jaki płynie z Boskiej nauki Chrystusa, nie może mu nie zjednać biednej duszy ludzkiej. A przy tym Kościół, wychodząc z założenia, że jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże, że mamy od Boga daną wielką potęgę rozumu i nieprzebrany skarb miłości, że istnieją środki materialne zwielokrotnione przez naukę i technikę, zdolne do wyniszczenia jeszcze o wiele większej liczby ludzi, może i obecnie chce się włączyć jeszcze bardziej w postęp nauk. Miłość jest największym przykazaniem i nakazem Bożym dlatego Kościół pragnie dać z siebie maximum dobra wszystkim istotom stworzonym.

Kościół nie może zamykać oczu na zło w świecie i będzie je odkrywał nawet wśród często zakamuflowanych teorii i obietnic, w ten sposób da światu pełniejszy obraz rzeczywistości.

Rola religii chrześcijańskiej i Kościoła wzrasta z dnia na dzień i obce nawet kulturą i poglądami narody widzą w nim wielką dźwignię postępu i świtanie lepszego jutra.

Rzym, 7 października 1965 r.

JAK UCHRYSTIANIZOWAĆ DZISIEJSZY ŚWIAT?

Zdawałoby się, biorąc rzecz po ludzku, że chrześcijaństwo w swoim zaraniu będzie skazane na uwiąd.

Palestyna, Roma i Hellada zdawały się być nieprzenikalne dla nauki Chrystusa ze względu na jej treść i formę. Treść była w dużej mierze przeciwna kierowniczej kaście ówczesnej faryzeuszów i saduceuszów: głosiła taką ewolucję nauki starotestamentalnej, że duchowieństwo czuło się nie tylko zagrożone w swoim istnieniu, ale oburzone na rewolucyjność Nauczyciela z Nazaretu. Dumna Grecja słuchała nawet św. Pawła, ale odwróciła się od niego, gdy jej zaczął mówić o

Zmartwychwstaniu Ukrzyżowanego. Roma zbyt była teokratyczna i pewna siebie, by jakiś Piotr czy biedacy z nad Tybru mogli im imponować. A zresztą siła fizyczna nie była po stronie Apostołów. A forma dla tych wybrednych była zbyt prosta, zbyt mało intelektualna. A tymczasem... Nadludzka, a zarazem na wskroś humanistyczna więź duchowa i społeczna zdynamizowała ówczesny świat i rzuciła go w objęcia nowej nauki.

A dzisiaj? Jak chrześcijaństwo zdobędzie świat, kiedy go jeszcze cztery piąte ludzkości albo nie zna lub nie przyjmuje? A nawet w samym sercu krajów Europy i Ameryki katolickich w dużej mierze istnieją obszary, które są praktycznie poza religią chrześcijańską.

Naprzód marginesowa uwaga brzmiąca pozornie paradoksalnie: chrystianizm sam zrodził emancypację nowożytną człowieka i wywołał widmo dechrystianizacji. Przecież ono od samego początku dokonało rozdziału „doczesnego” i „wiecznego” („Oddajcie co cesarskiego cesarzowi, a co boskie Bogu”). Logika rozwoju tej desakralizacji pewnych sfer życia zbiorowego musiała doprowadzić do rozdziału nauki, filozofii, polityki i ekonomii od religii, rozróżnienia „świeckiego” od „sakralnego”. Konsekwentnie w oparciu o twórczą autonomię rozumu doprowadziło do olbrzymiego rozwoju nowożytnej Europy.

Z powyższej uwagi marginesowej wypływają inne jeszcze konsekwencje: kultura laicka odłączona od Boga nie koniecznie ma być dziełem Szatana, choć on próbuje zawładnąć tym procesem historycznym i obrócić go przeciw Bogu.

Ponadto: widać że w ekonomii Bożej i w planie Stworzenia leżało wyzwolenie twórczych mocy ducha ludzkiego tak, że mógł stać się on podmiotem historii.

Ale pociągało to pewne za sobą skutki, których Kościół nie może nie wziąć pod rozwagę.

A więc: I o Od czasów nowożytnych główny nurt zainteresowań człowieka poszedł po linii rozwijania cywilizacji i kultury doczesnej, nie wiele się troszcząc o zbawienie poza grobem. Opanowanie przyrody i rozumienie rozwoju społecznego w historii stało się wartością i zadaniem godnym człowieka. Usunąć głód, choroby, nędzę, wojny etc. i stworzyć szczęście doczesne – oto dominanta wysiłków rozumu ludzkiego. Przyroda znów odpowiada tylko na wysiłek pracy, która nabiera coraz to głębszego rozumienia. Prymat praktyki nad teorią wykazał ogromny rozwój techniczny świata, co przy zwiększeniu dziś ludności stało się naczelnym zadaniem czasów nowożytnych.

To też głównym zarzutem tych kierunków stawianym Kościołowi jest to, że zignorował dotychczas prawdę ontologiczną walki człowieka z przyrodą, która bez jego odkryć i pracy uniemożliwiała wprost rozwój cywilizacyjny. Kościół – powiadają – był i jest nieobecny na froncie walki biologicznej o istnienie. Działa on na tyłach tego frontu, korzystając jednak z owoców tej pracy. Postawa konsumpcyjna i eksploatacyjna odziedziczona po starożytnych cywilizacjach sakralnych nie może przychylnie nastroić do Kościoła mas pracujących.

Inny rzut: Kościół jest obojętny na los ubogich, mimo urzędowej doktryny miłości społecznej. Nie walczy praktycznie przeciwko wyzyskowi mas, a trzy-

ma stronę warstwy pasożytniczej. Posłuszeństwo panom położenia, odwrócenie uwagi na problem nędzy proletariatu przez podkreślenie, że ubogich zawsze mieć będziecie między wami, że jedynie wartościową sprawą jest życie zagrobowe itp. To też łatwo było przekonać te masy, że nie tylko nie otrzymają z tej strony pomocy lecz nawet będą ideologicznie zwalczane. To też masy za pośrednictwem socjalizmu i laicyzmu znalazły sojusznika w nauce i technice.

Biorąc pod uwagę te mniej lub więcej prawdziwe, ale w istocie swej dość realne argumenty, należy zrobić to, co Kościół w tej chwili (a nie tylko teraz) czyni. Teologia pracy, teologia rzeczy doczesnych, ich wartość dla człowieka stały się kanonem rozważań soborowych. Dziś (zresztą od dawna) Kościół przystosowuje się przez głębsze wniknięcie w psychologię i socjologię do cywilizacji technicznej, do uznania prawa człowieka do dobra doczesnego, czyli szczęścia ziemskiego. Ba, włącza się on coraz lepiej w wysiłek zbiorowy ludzkości, zmierzający do usunięcia klęsk społecznych, wyzysku pracy, ucisku słabszych narodów, wojny, głodu, chorób i nędzy. Przecież nie tylko o to się modli („Od powietrza głodu ognia i wojny wybaw nas Panie”), ale wedle swych możliwości idzie razem ze swymi kapłanami i laikatem temu wszystkiemu na spotkanie.

Ukazuje też Kościół, że ta troska, choć bardzo ważna nie jest jego jedyną troską, bo zadbanie o rzetelną kulturę duchową, o sprawiedliwość, miłość i pokój o ważne zrozumienie dobra ludzkości jakimi są moralność i rozszerzenie rzeczywistości ziemskich na całą wieczność jest jego również wielkim a właściwie największym zadaniem. Świat bez Boga – wykazuje to Kościół na każdym kroku – będzie światem nieludzkim, jak to potwierdziły przeliczne doświadczenia ludzkości.

Kościół wskazuje też na schorzenia nowoczesnej cywilizacji, jakimi są np. wyniszczający pośpiech i wysiłek, brak czasu i warunków na wejście w głębię siebie i rozwój duchowy, zużycie całego czasu na funkcje materialno-produkcyjne, na brak myśli o wieczności, na samotność, pomimo mrowiska ludzkiego, której nie zastąpi wskutek zubożnienia i abstrakcyjności braterstwo pracy i międzynarodowa solidarność proletariatu.

I dlatego właśnie dziś Kościół gdy włącza się coraz intensywniej w potrzeby tego świata, oddaje mu wszelką przysługę, sam zresztą czerpiąc z tych wysiłków ogromny kapitał dla samego siebie.

Rzym, (w maszynopisie brak daty)

SOBÓR POWSZECHNY GŁOSIĆ MA CAŁĄ PRAWDĘ

Wszyscy wiemy, jak rozeszły się sądy ludzkie naokoło sztuki pisarza zachodnoniemieckiego Rolfa Hohenkutha „Der Stellvertreter” („Namiestnik”). Nie wdając się w jej ocenę artystyczną, która zdaniem przeważającym krytyków, oceniana jest jako mierna, pragniemy na jej marginesie podkreślić pewne momenty, które muszą być uwzględnione w schemacie XIII. A więc naprzód niektóre stwierdzenia

Ocena działalności Kościoła przez współczesnych opiera się głównie na przesłankach moralnych. To jest i właściwe i dobre. Pod jednym warunkiem, że podawanie faktów do oceny będą miały ręce i nogi, czyli będą faktami, a nie zmyśleniami czy wykoślawieniem. Sztuka powyżej wzmiankowana wywołała liczne komentarze nieraz ze sobą sprzeczne, bo nie zawsze ciągnęła do arsenału broni faktycznej i do archiwum dokumentów. Sam jednak fakt zajmowania się ocenianiem działalności Kościoła i jego nawet najwyższych zwierzchników, jest dodatni bo składa przez to hołd moralności, która obowiązywać powinna nie tylko w stosunku do hierarchii Kościoła katolickiego, ale i zawsze i wszędzie. Zresztą Sobór Watykański II nieraz podkreślał tę zasadę.

W związku z podstawą odnośnie do priorytetu prawdy w ogóle i prawdy moralnej stoi zagadnienie tzw. racji stanu. Na tę powoływano się nieraz i uważana jest ona jako najwyższe kryterium dla rządów, mężów stanu, polityków, militarystów, pisarzy itd. itd.

Zasada sama, o ile abstrahujemy od jej roszczeń nadrzędnych, ma wiele słuszności. Tylko że tak łatwo podciągnąć pod tę zasadę całą działalność państwa i społeczeństwa!

Na pewną wartość tzw. „racji stanu” wskazuje to, że podporządkowuje ona dobro jednostki dobru ogólnemu, zwalcza indywidualizm i każe cenić wyżej społeczność ludzką i jej potrzeby. Poza tym „racja stanu” wkłada na rządzących wiele niełatwych obowiązków. Może być jednak nadużyta, o ile nie oprze się na przesłankach moralnych jako w stosunku do niej nadrzędnych. Praktyka życiowa wykazała, jak często pod to hasło podciągnięte zostały szowinizmy narodowe, lub też żądza władzy i panowania nad jednostkami i społeczeństwami. Ileż to krzywdy wyrządzono narodom w imię właśnie tej racji stanu! Ostatnia wojna światowa dała przeliczne przykłady nadużyć właśnie w imię fałszywie pojętej „racji stanu”.

Dlatego też każda instytucja, a tym bardziej Kościół, musi ustawicznie nawoływać do przestrzegania hierarchii wartości: racja stanu moralnie podbudowana – tak, inaczej – nie. O ileż wtedy łatwiej i słuszniej rozwiązywano by przeliczne problemy państwowe i międzynarodowe, gdyby wreszcie polityka przestała się opierać na egoizmie narodowym, czyli niemoralnym, a była podporządkowana moralności!

Kościół obecnie stoi przed faktem ogromnej doniosłości praktycznej, a konsekwentnie i zasadniczej, mianowicie rezultatów i ocen drugiej wojny światowej. Przestępców wojennych, o ile zajmowali stanowiska naczelne, nie można było osądzać według prawa międzynarodowego, bo nie było takiego paragrafu. To też musiano na salę w Norymberdze przemycić prawo moralne: nie zabijaj, nie popełniaj tym bardziej ludobójstwa. Również sądy, które mają obecnie miejsce w Niemczech wzmogły nadzieję, że wszędzie bez wyjątku, gdzie miały miejsce zbrodnie czy w obozach koncentracyjnych, czy w więzieniach, czy też w mordowaniu wprost w domach i na ulicach muszą być potępione i karane. Budzi się więc zdrowy odruch moralny, przestrzegający narody i państwa przed gwałce-

niem piątego przykazania Bożego, ukazując im nie tylko niemoralność ich czynów, ale również ich nieopłacalność w sensie korzyści osobistej czy zbiorowej.

Dlatego też w schemacie XIII, a tym bardziej w odezwie do ludzkości, ten moment nie może być pominięty.

Strasliwa jest zawsze wojna powodująca cierpienia ludzkie i niszczenie dorobku cywilizacyjnego i kulturalnego przez ruiny i zepsucie obyczajów. Nie podobna też ogarnąć najbujniejszą wyobraźnią katastrofy, jaką grozi wojna atomowa. Już dziś ludzie odpowiedzialni nawołują ludzkość do opamiętania i nie igrania z ogniem o skali globalnej. Ale przy tym jest wielu takich, którym zależy na rozpaleniu pożaru świata. Niedawno – nie mówmy tylko, że to jest taktyka, by przerazić przeciwnika – kierownicy jednego z największych pod względem liczebnym państw – cynicznie mówili o „tygrysach papierowych”, o tym, że gotowi są poświęcić połowę swej ludności, by tylko zanieść światu nową „ewangelię” i opanować go. Mam wrażenie, że wojna przyszła jest w wymiarach tak apokaliptycznych, że Kościół może ją i odrzucić i potępić bez uwzględnienia osłabiającej kazuistyki. Zarazem Kościół ma prawo domagać się od wszystkich ludzi dobrej woli, by wnosząc na ten padół sprawiedliwość, zamiłowanie prawdy, uczciwość i miłość przyczyniali się do dobra pokoju, a tym, którzy „święty egoizm”, egoistyczną racją stanu wynoszą ponad dobro ogólne, dać odpór przez mobilizowanie wszystkich sił na świecie przeciwko ich roszczeniom.

Podkreślenie przez Kościół zasady, że jesteśmy współnikami czynów, wobec których pozostajemy obojętni, daje siłę moralną i Kościołowi i państwom, bo wobec czynów złych jest konieczne zaangażowanie aktywne, bez względu na konsekwencje, jakie się poniesie. Zapewne sprawa ta nie jest łatwa w praktycznym jej zastosowaniu. Margines omyłki, co będzie dobre i złe jest bardzo duży. Ale to wcale nie zwalnia od zaangażowania się, bo rozum oświecony wiarą zawsze jest w stanie odróżnić zło od dobra, fałsz od kłamstwa, prawdę od błędu.

Mając te momenty na uwadze, pragnę zakończyć te moje uwagi apelem do Dostojnego Episkopatu świata, by tym sprawom dano wyraz możliwie pełny i niedwuznaczny. Tego oczekuje od nas miłość prawdy, dobro człowieka i honor Kościoła, który kocha człowieka a walczy ze złem i błędem.

Rzym, 27 września 1965 r.